NR 32 (1905) 12 SIERPNIA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

WROCŁAW JEST POLSKI

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- SOLIDARNOŚĆ POWITAŁA PREZYDENTA KAROLA NAWROCKIEGO
- DZIĘKUJEMY ZA 10 LAT PREZYDENTURY ANDRZEJA DUDY

eprasa.pl 09e62a2192

FORUM EKONOMICZNE

Główny Partner

DOLNY ŚLĄSK

XXXIV FORUM EKONOMICZNE

2-4 września
2025

Hotel Gołębiewski
Karpacz

CZAS TRANSFORMACJI
- jaka będzie Europa przyszłości?

3 dni
konferencji

500+
debat

6000+
gości

160 partnerów
biznesowych

ZAREJESTRUJ SIĘ
www.forum-ekonomiczne.pl

eprasa.pl 09e62a2192

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Polska potrzebuje dziś przywództwa, które nie tylko rozumie współczesne wyzwania, ale także potrafi zakorzenić je w wartościach. Wybór Karola Nawrockiego na prezydenta Rzeczypospolitej daje nadzieję na to, że tak właśnie będą prowadzone sprawy Polski. Nowy prezydent swoją dotychczasową działalnością jako historyk, szef Instytutu Pamięci Narodowej, człowiek zaangażowany w pielęgnowanie pamięci i godności narodowej udowodnił, że potrafi łączyć przeszłość z teraźniejszością w służbie przyszłości.

Orędzie prezydenta Nawrockiego wygłoszone w ubiegłym tygodniu tuż po zaprzysiężeniu nie pozostawia złudzeń – mamy do czynienia z człowiekiem, który wie, dokąd zmierzamy i na jakich fundamentach powinniśmy budować nasze państwo. W Sejmie mocno wybrzmiały trzy filary – wolność, bezpieczeństwo i tożsamość – czyli wartości, które od wieków konstytuowały polskość i które dziś, w czasie globalnych napięć, wojny za wschodnią granicą oraz cywilizacyjnego zamętu, nabierają nowego znaczenia.

Wolność to nasz narodowy kod kulturowy – podkreślił prezydent Nawrocki. Trudno się z tym nie zgodzić. Polska nigdy nie godziła się na zniewolenie, czy to w wymiarze militarnym, politycznym, czy – co dziś szczególnie istotne – kulturowym. Nawrocki jako prezydent daje gwarancję, że Polska nie będzie państwem dryfującym, lecz trzymającym mocno ster państwa w rękach.

Drugi filar jego orędzia to dziś temat fundamentalny. Obywatele oczekują, że państwo zapewni im ochronę nie tylko na poziomie militarnym, ale też społecznym i kulturowym. Polska potrzebuje stabilnych instytucji i silnej władzy. Prezydent Nawrocki to człowiek, który zna wagę instytucji państwowych i rozumie ich rolę w zapewnianiu ładu, bezpieczeństwa i niepodległości.

Jednak najmocniejszym akcentem jego wystąpienia była obrona tożsamości narodowej. Nie chodzi tu o pusty slogan, lecz o realne przekonanie, że naród bez pamięci, bez kultury, bez dumy z własnych osiągnięć jest narodem słabym i podatnym na wszelkie formy kolonizacji. Nawrocki mówi wprost, że nie mamy powodu się wstydzić tego, kim jesteśmy. Mamy powód być dumni.

I to jest ton, którego wielu Polakom brakowało. Ton człowieka, który nie przeprasza za historię, ale wyciąga z niej lekcję i czerpie siłę do działania.

To także kontynuacja polityki poprzedniego prezydenta Andrzeja Dudy. To on z determinacją i spokojną konsekwencją odbudowywał autorytet urzędu prezydenta jako strażnika konstytucyjnego porządku i narodowej suwerenności. Były już prezydent mówił głośno o znaczeniu tradycji, wspólnoty, polskiej historii i sprawiedliwości społecznej. Pokazał w ten sposób, że można pogodzić dumę z narodowej przeszłości z nowoczesną polityką społeczną. Programy prorodzinne, silna polityka bezpieczeństwa, bycie blisko problemów zwykłych obywateli to fundamenty, na których dziś buduje swoją prezydenturę Karol Nawrocki. I za to dziedzictwo Andrzejowi Dudzie należą się słowa wdzięczności.

Prezydentura Karola Nawrockiego może być jednak także nowym otwarciem. Wygłoszone przez niego orędzie było wyciągnięciem ręki do tych, którzy głosowali inaczej, a mimo to chcą żyć w wolnej, bezpiecznej i stabilnej Polsce. Prezydent zaakcentował potrzebę wspólnoty, porozumienia i dialogu nie na zasadzie rezygnacji z wartości, ale jako zachętę do uczestnictwa w budowie państwa, które daje przestrzeń każdemu, kto czuje się Polakiem. – To naród jest suwerenem – podkreślił prezydent Nawrocki, przypominając rzecz podstawową, a często ostatnio przez polityków zapominaną.

Karol Nawrocki to prezydent, który podkreśla, że polska racja stanu jest najważniejsza. I właśnie dlatego może być prezydentem całej wspólnoty – nie tylko tej, która wyniosła go do władzy.

Karol Nawrocki daje nadzieję na nową jakość w polskiej polityce. Mówi: – Jestem Polakiem i mam obowiązki polskie.

To prezydent, który podkreśla, że polska racja stanu jest najważniejsza. I właśnie dlatego może być prezydentem całej wspólnoty – nie tylko tej, która wyniosła go do władzy.

To moment, w którym wielu Polaków – także tych zawiedzionych, sceptycznych czy zagubionych – może na nowo spojrzeć na państwo jako przestrzeń dobra wspólnego. Karol Nawrocki zdaje się to rozumieć jak mało kto.

eprasa.pl 09e62a2192

12.08.2025
WYDANIE Nr
32

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Wrocław jest polski

14 Wrocław – miasto odpolszczane

20 „Historyczne” swastyki też mają wrócić? Rozmowa z prof. K. Kawalcem

24 Potęga nostalgii. Rzecz o niemieckim rewizjonizmie

27 Wrocławskie alternatywy

30 Gdańsk realizuje niemiecką politykę historyczną. Rozmowa z N. Nitek-Płażyńską

WYDARZENIE TYGODNIA:

Karol Nawrocki prezydentem Polski 8

KRAJ

Trzymam z Solidarnością 34
Platforma zapiekłych radykałów 36
Zdrowie na rozdrożu 40
Gorzkie gody PiS-u i Konfederacji 44
Stajemy z Wami do walki. Rozmowa z G. Simionem 47

ZAGRANICA

Pracownicy uzależnieni od... pracodawców 48
Polityczne biznesy socjaldemokratów 50

SPOŁECZEŃSTWO

Od „whitewashing” do „blackwashing” 52

KULTURA

Nie szukam konfliktów. Rozmowa z J. Majewskim 56
Na Zachodzie bez zmian 60

RELIGIA

Niezwykłe objawienia 62

ZWIĄZEK

Co w związku 64
To wyróżnienie dla całej Solidarności. Rozmowa z A. Kropiwnickim 66
Pancerna Barbara 68

FELIETONY:

OKRASKA 7
GAC 19
PŁUŻAŃSKI 71

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 33
KARUZELA Z BLOGERAMI 39
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 09e62a2192

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

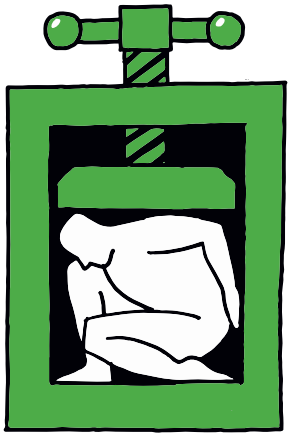

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 09e62a2192

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 09e62a2192

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Remigiusz Okraska

Bez produkcji – i bez sensu

Unia Europejska wymyśliła świetny sposób na to, jak pozbyć się przemysłu i miejsc pracy. A przy tym zrazić ludzi do ważnych spraw.

W zakładzie ArcelorMittal w Dąbrowie Górniczej, czyli w dawnej Hucie Katowice, właśnie przystąpiono do wygaszania jednego z dwóch wielkich pieców. Podobno tymczasowo. Podobno nikt nie straci pracy. Podobno piec znowu będzie działał, gdy wróci popyt na produkty tej huty.

Ludzie nie wierzą i się boją. Tak samo „podobno" miało być w Hucie im. Sendzimira kilka lat temu. Ten sam koncern zlikwidował tam wielki piec i na bruk trafiło 650 pracowników. W Dąbrowie Górniczej związkowcy powołali komitet protestacyjny i chcą gwarancji zatrudnienia.

Ale nikt im nie zagwarantuje na serio czegoś takiego. Żeby zatrudniać – trzeba produkować. Żeby produkować – trzeba sprzedawać. Tymczasem stal produkowana w Polsce i w Unii Europejskiej jest wypierana z rynku przez napływ tańszych wyrobów.

Na przykład z Ukrainy. W terminalu w Sławkowie, gdzie kończy się kolejowy szlak transportowy z Ukrainy, związkowcy z hutnictwa i górnictwa zorganizowali pod koniec lipca protest przeciwko importowi produktów stalowych. Unia niedawno przedłużyła o kolejne trzy lata bezcłowy import stali z Ukrainy.

Polska Hutnicza Izba Przemysłowo-Handlowa twierdzi, że import zaspokaja już 80 proc. zużycia wyrobów stalowych w naszym kraju. W przypadku wyrobów płaskich ten wskaźnik wynosi aż 95 proc. Mamy szybki wzrost importu stali nie tylko z Ukrainy, ale także z Serbii, a nawet z Indonezji, Arabii Saudyjskiej, Tajwanu, Wietnamu i Korei Południowej.

To nie tylko kwestia niższych kosztów produkcji w różnych krajach. Nie tylko braku ceł lub ich niewielkiej wysokości. To także ekologia. Huty w tamtych krajach nie ponoszą takich kosztów, jakie w Unii trzeba płacić za uprawnienia emisyjne z własnej produkcji oraz z nabywania energii elektrycznej czy węgla przez huty. Trudno konkurować z czymś takim.

Co z tego wynika? W Unii Europejskiej maleje produkcja. Ubywa wpływów z podatków. Likwidowana jest substancja przemysłowa. Tracone są miejsca pracy. Mniej jest środków z pensji do wydania.

To może chociaż jakieś korzyści ekologiczne? Skądże. Do Europy trafia stal wytwarzana w emisyjnych zakładach, które nie przestrzegają takich zasad, jakie my musimy stosować. Do tego dochodzą ekologiczne skutki transportu setek tysięcy ton stali na ogromne odległości. Statkami na mazut, tirami na ropę, kosztem dodatkowej energii na przeładunek, magazynowanie itp.

Gdyby chcieć wymyślić najgłupszy i przeciwskuteczny sposób ochrony środowiska – byłby on właśnie taki.

Liberalne elity znowu będą zdziwione i rozczarowane. Znowu okaże się, że społeczeństwo jest „ciemne" i „nie dorosło". Że nie zachwyca się tak wdrażaną ekologią. A nawet pojawiają się nastroje antyukraińskie.

To nie społeczeństwo jest ciemne. To nie związkowcy błądzą. To nie ekologia przeszkadza ludziom. To nie Putin musi podsycać nastroje antyukraińskie.

To liberalna kontynentalna elita stworzyła system, który generuje same szkody, straty i bzdury.

eprasa.pl 09e62a2192

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Wydarzenie Tygodnia

KAROL NAWROCKI prezydentem Polski

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 09e62a2192

W ubiegłą środę, **6 sierpnia**, Karol Nawrocki został zaprzysiężony na prezydenta RP. W uroczystościach wziął udział Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Przed Sejmem RP i na ulicach Warszawy zgromadzili się członkowie i sympatycy NSZZ „Solidarność" z całej Polski.

Marcin Krzeszowiec, **Barbara Michałowska**, **Agnieszka Żurek**

Wolny wybór wolnego narodu postawił mnie dziś przed Państwem. Postawił mnie przed Państwem wbrew wyborczej propagandzie, kłamstwom, wbrew teatrowi politycznemu i wbrew pogardzie, z którą się spotykałem w drodze do urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – tymi słowami zaczął swoje orędzie po wygłoszeniu roty przysięgi prezydenckiej Karol Nawrocki.

Fot. M. Żegliński

„Będę głosem narodu”

– W moich decyzjach będę głosem narodu, wiernym swojemu programowi. To, Drodzy Państwo, wszystkim gwarantuję – powiedział Karol Nawrocki.

Prezydent nie pozostawił wątpliwości, że jego pięcioletnia kadencja będzie realizacją „Planu 21” – programu, który poparło 10,5 miliona obywateli.

– A w tym planie jasno można przeczytać, że jestem wielkim zwolennikiem i będę popierał wszystkie inicjatywy i swoimi decyzjami będę dążył do tego, aby państwo polskie było ambitne, było miejscem rozwoju, było miejscem wielkich przełomowych projektów takich jak Centralny Port Komunikacyjny, jak polskie drogi, polskie porty – zaznaczył.

Wybrzmiały też kluczowe punkty programu nowego prezydenta: – Plan 21 i mój program to NIE dla nielegalnej migracji, TAK dla polskiej złotówki, NIE dla euro. [...] Jako prezydent Polski nie pozwolę podnieść wieku emerytalnego kobietom i mężczyznom – mówił.

Karol Nawrocki w swoim przemówieniu odniósł się również do kwestii naprawy ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, deklarując utworzenie rady

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 09e62a2192

ds. naprawy ustroju państwa, do której zostaną zaproszeni wszyscy, którzy będą chcieli prowadzić dialog o konsekwentnej jego naprawie. Zapowiedział również prace nad Konstytucją RP, wyrażając nadzieję, że do roku 2030 będzie gotowy nowy projekt ustawy zasadniczej.

Święto demokracji

Wcześniej Karol Nawrocki złożył przed Zgromadzeniem Narodowym prezydencką przysięgę. Oświadczył: „Obejmując z woli Narodu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, uroczyście przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji, będę strzegł niezłomnie godności Narodu, niepodległości i bezpieczeństwa Państwa, a dobro Ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem. Tak mi dopomóż Bóg”.

Po tych słowach Karol Nawrocki formalnie objął urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Po zakończeniu posiedzenia Zgromadzenia Narodowego Para Prezydencka spotkała się z Prezydium Sejmu i Prezydium Senatu.

O godz. 12.00 Prezydent RP wraz z małżonką Martą Nawrocką udali się do archikatedry św. Jana Chrzciciela. Uroczystą Mszę Świętą w intencji ojczyzny i prezydenta celebrował prymas Polski abp Wojciech Polak, a homilię wygłosił metropolita warszawski abp Adrian Galbas. Następnie na Zamku Królewskim prezydent Karol Nawrocki przejął symboliczne zwierzchnictwo nad Orderem Orła Białego i Orderem Odrodzenia Polski – dwoma najstarszymi cywilnymi odznaczeniami państwowymi. Z Zamku Królewskiego prezydent Karol Nawrocki wraz z małżonką udali się do Pałacu Prezydenckiego. Przejście uświetniła orkiestra oraz Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego.

Po południu zaś odbyły się uroczystości na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tu Prezydent RP Karol Nawrocki przejął zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi RP.

Fot. M. Ossowski

Fot. M. Ossowski

Solidarność wsparła nowego prezydenta

Związkowcy z Solidarności przyjechali na uroczystość zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego z całej Polski. Od wczesnych godzin porannych gromadzili się przed Sejmem RP, a następnie towarzyszyli prezydentowi we Mszy Świętej w katedrze św. Jana na warszawskiej Starówce. Jak mówili, przyjechali, aby wyrazić solidarność z nowym prezydentem i wesprzeć go w nowej misji, którą rozpoczął 6 sierpnia 2025 roku.

Prezydent Karol Nawrocki po swoim wyborze na najwyższy urząd państwowy wielokrotnie dziękował Solidarności za poparcie jego kandydatury, podkreślając, że przyczyniło się ono w znacznym stopniu do jego wyborczego zwycięstwa.

– Byliśmy – jesteśmy – będziemy – zapewnili prezydenta związkowcy, wyrażając nadzieję, że będzie on wierny ideałom niepodległości, sprawiedliwości, wolności i solidarności.

– Wiele tysięcy osób przyjechało do Warszawy towarzyszyć panu

eprasa.pl 09e62a2192

Fot. B. Michałowska

Fot. B. Michałowska

Fot. T. Gutry

Solidarność licznie przybyła do Warszawy na zaprzysiężenie nowego prezydenta Karola Nawrockiego. Przedstawiciele Związku byli obecni przed Sejmem, na placu Zamkowym, przed Pałacem Prezydenckim i na placu Piłsudskiego.

prezydentowi, ale także przyjechała tutaj silna reprezentacja NSZZ „Solidarność", z czego jestem dumny i z czego się cieszę. [...] Karol Nawrocki to człowiek, który dotrzymuje słowa danego Solidarności – powiedział nam po uroczystościach związanych z zaprzysiężeniem Karola Nawrockiego na prezydenta RP Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl 09e62a2192

45 Solidarność TYLKO RAZEM

Gdańsk, 7 sierpnia 2025 r.

Członkowie i sympatycy
Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”!
Drodzy Przyjaciele!

Serdecznie dziękuję Wam za obecność w Warszawie podczas zaprzysiężenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Karola Nawrockiego. Wasze liczne przybycie to nie tylko gest solidarności z człowiekiem, który jest blisko naszych spraw. To jasny sygnał, że Solidarność potrafi być razem, że jesteśmy nie tylko związkiem zawodowym z wielką historią i dziedzictwem, ale przede wszystkim siłą, która działa tu i teraz.

Mówiliśmy, że będziemy pilnować Polski – i to właśnie robimy. Wybory prezydenckie wygraliśmy razem. To zwycięstwo nie byłoby możliwe bez Waszego zaangażowania, bez zaufania, jakim obdarzyliście Karola Nawrockiego, i bez determinacji, jaką wykazaliście, by to właśnie człowiek związany z naszymi wartościami objął najwyższy urząd w państwie.

Jeszcze jako kandydat na Prezydenta RP Karol Nawrocki podpisał umowę programową z Komisją Krajową NSZZ „Solidarność”, która stała się realnym planem współpracy opartym na wspólnym fundamencie: poszanowaniu praw pracowniczych, wspieraniu dialogu społecznego i wzmacnianiu polskiej tożsamości narodowej. Dziś, już jako urzędujący Prezydent, Karol Nawrocki daje nadzieję, że słowa te nie pozostaną jedynie na papierze. Pokazuje, że jest gotów do dialogu, że słucha ludzi, że zna realia życia społecznego i gospodarczego. Co najważniejsze, że dotrzymuje słowa danego Solidarności.

Wierzymy, że nowy Prezydent będzie nie tylko obrońcą praw pracowniczych, ale także aktywnym partnerem w budowaniu nowej jakości relacji między państwem a światem pracy. My, jako Solidarność, nie zamierzamy się wycofać. Będziemy wspierać te działania, będziemy przypominać o zobowiązaniach, będziemy aktywni.

Wczorajszy dzień zaprzysiężenia Prezydenta RP dla nas, członków Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, miał szczególne znaczenie. Był prawdziwym świętem demokracji, nie fasadowej, ale tej prawdziwej, żywej, opartej na odpowiedzialności i wartościach.

Jeszcze raz – z całego serca dziękuję Wam za obecność, za Wasze zaangażowanie i za to, że swoją postawą pokazujecie, czym naprawdę jest Solidarność.

Szczęść Boże!

Piotr Duda

eprasa.pl 09e62a2192

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

WROCŁAW – miasto odpolszczane

Coraz więcej jest we Wrocławiu znaków rzekomej niemieckiej tożsamości. Eksponowane są nawet najbardziej banalne epizody tej części jego dziejów. Pamięć o polskim wkładzie w wielkość metropolii **spychana** jest na margines.

Artur Adamski

Rzekoma odwieczna niemieckość Wrocławia jest bzdurą. W początkach państwowości czeskiej istniał tu gródek o imieniu wziętym od księcia Vratislawa. Ekspertyzy węglowe dowiodły, że po roku 980 Mieszko I zbudował w jego miejscu warowny gród. W roku 1000 decyzją Bolesława Chrobrego stał się on siedzibą biskupstwa. Od polskiej prowincji kościelnej zostało ono oderwane dopiero w roku 1821. Tak długo wśród tutejszych katolików silnie obecna była polszczyzna, której zanik przyspieszył dopiero wprowadzony w Prusach obowiązek chodzenia do niemieckojęzycznych szkół. Prowadzone od roku 1904 badania prof. Kazimierza Nitscha zaskoczyły ciągłą obecnością w szerokim pasie przylegającej do Dolnego Śląska Wielkopolski wszystkich językowych zjawisk charakterystycznych dla śląskiego dialektu naszego języka. Polskojęzycznych Dolnoślązaków ciągle więc musiało być mnóstwo, a ich kontakty z Wielkopolanami były tak żywe, że wywierały wpływ na ich język.

Fot. Adobe Stock

Wszystko to mimo niemieckiej kolonizacji, już w XIII w. odciskającej się na składzie wrocławskiego patrycjatu czy związków małżeńskich, skutkiem których rycerskie rody Świnków zamieniały się w Schweinerów, a Krakwiczów w Krakwitzów. Nazwiska dawnych Dolnoślązaków często zdradzają narodowość ich przodków. Uważającym się za Niemców zdarzały się powroty do tożsamości pradziadów. Najgłośniejszy był przypadek ziemianina spod Legnicy Alfreda von Olszewskiego, który po przeczytaniu „Trylogii" zadeklarował się jako Polak, tego samego żądając od swoich dzieci. W okolicach Wrocławia nie brakowało też ziemian od polskich korzeni się nie odżegnujących, jak np. Machniccy, czy przyjmujących sarmacki styl życia Dolnoślązaków świeżej daty, jak przybyły w XVIII w. znad Renu ród Schaubertów – polonofili słynących z husarskiej fantazji i trumiennych portretów wykonywanych dla każdego członka rodziny. To w podwrocławskim Henrykowie w roku 1270 napisane zostało pierwsze zdanie w języku polskim. Od wynalezienia druku Wrocław zawsze należał też do głównych ośrodków wydawania polskich książek. To w nim w XIX w. premierę miała część dzieł Krasińskiego, Klementyny Tańskiej-Hoffmanowej, a stale wznawiano Jana Kochanowskiego, Juliusza Słowackiego, Ignacego Krasickiego, Jana Potockiego, Franciszka Karpińskiego...

Wrocław polski, czeski, niemiecki

W średniowieczu rangę przodującą w Polsce zyskiwał Wrocław za sprawą ludzi takich jak palatyn Krzywoustego Piotr Włast, świetny gospodarz fundujący opactwa m.in. na podwrocławskim Ołbinie, gdzie jedna z romańskich świątyń należała do największych w środkowej Europy. Nie mniejszą pracę wykonali piastowscy Henrykowie, których stolica po pożodze tatarskiej lokowana była z rozmachem oznaczającym budowę jednej z największych metropolii kontynentu. Wrocław stawał się wtedy rzeczywistym centrum polskiej państwowości. Henryk Probus budował w nim na wskroś królewski zamek i ledwie krok dzielił go od koronacji. W 1290 roku dobrą passę śląskich Piastów i szanse Wrocławia na rangę stolicy polskiego państwa oddaliła nagła śmierć Probusa, a bezpotomne odejście w 1335 roku ostatniego wrocławskiego Piasta spowodowało przejście pod zwierzchność czeską.

Sprzeciwiał się temu biskup Nankier i wiele przemawia za tym, że tylko jako tymczasową utratę Śląska uważał Kazimierz Wielki. Zobowiązanym do jego odzyskania miał być Władysław Jagiełło, o konieczności tej pisał Jan Długosz. Wymianę dziedzictwa Piastów na posiadłości włoskie oferowała Bona Sforza. O Wrocławiu i Śląsku ›

epresa.pl 0966262492

pamiętano, w latach 1471– 1526 znalazły się nawet pod berłem Jagiellonów. Z nadarzających się okazji powrotu Polski nad Odrę nie skorzystano wskutek konieczności odpierania ciągłych agresji ze wschodu, południa i północy. Wrocław przechodził z rąk do rąk, w czasach Macieja Korwina zdarzył mu się nawet epizod panowania węgierskiego. Lata przynależności do kolejnych państw podliczał prof. Jerzy Łojek, z którego podsumowania wynika, że przynależność Wrocławia do Polski składa się na ok. 446 lat. Czyli nie tylko więcej od ok. dwóch wieków związku miasta z Czechami, ale i od trwającej łącznie od roku 1526 do 1945 przynależności kolejno do monarchii Habsburgów, Prus i wreszcie – Niemiec.

Jednak to, że przez dwa stulecia poprzedzające powrót do Polski Wrocław należał właśnie do Prus i Niemiec, ma oczywiste konsekwencje w postaci niedawnego i sporego dziedzictwa tych wieków. Większość jednak tego, co definiowane bywa jako „poniemieckie", w dużej mierze jest dziełem powojennej odbudowy. W wydanym w 2009 roku albumie „Wrocław 1947. Fotografie lotnicze" zobaczyć można nie tylko pustynię, w jaką zamienione zostały najludniejsze dzielnice, ale też te zdefiniowane jako ocalone. A ich zdjęcia pokazują, że niemal wszystkie domy pozbawione w nich były dachów. W rzeczywistości nie miały też okien, często ścian i wielka ich część wymagała gruntownej odbudowy. Mnóstwo zachowanej tkanki miasta, posiadając przedwojenny rodowód, ma powojenne stropy. Co w większym stopniu czyni je dziełem powojennych, a nie przedwojennych gospodarzy.

Prof. Jerzy Woźniczka, konkludując to, co zostało po zmieniających się włodarzach, stwierdził, że z czasów Piastów mamy głównie zamki i gotyckie kościoły, z czesko--habsburskich barokowe klasztory, a z prusko-niemieckich koszary i więzienia. Wnioskowi temu trudno odmówić słuszności. Wszystkie kościoły starsze od barokowych to fundacje Piastów. Na samym Starym Mieście stoi ich kilkanaście, w całym Wrocławiu taki rodowód ma kilkadziesiąt. Wrocławskie zamki potomków Bolesława Krzywoustego ocalały tylko we fragmentach. Te z Ostrowa Tumskiego dają jednak wyobrażenie o potędze Bolesława Wysokiego i jego następców. W podziemiach zobaczyć możemy m.in. część największej wieży mieszkalnej ówczesnej Europy.

WIĘKSZOŚĆ TEGO, CO DEFINIOWANE BYWA JAKO „PONIEMIECKIE", W DUŻEJ MIERZE JEST DZIEŁEM POWOJENNEJ ODBUDOWY.

Z CZASÓW PIASTÓW MAMY GŁÓWNIE ZAMKI I GOTYCKIE KOŚCIOŁY, Z CZESKO-HABSBURSKICH BAROKOWE KLASZTORY, A Z PRUSKO--NIEMIECKICH KOSZARY I WIĘZIENIA.

Wrocław habsburski

Najwspanialszą pamiątką czasów habsburskich jest Uniwersytet, utworzony w roku 1702 jako Akademia Jezuicka. Jej inicjatorem, organizatorem i pierwszym kanclerzem był pochodzący z Inflant Fryderyk Kazimierz Wolf. Narodowość tej postaci, która karierę zaczęła na dworze Jana Kazimierza, prof. Gościwit Malinowski definiuje jako polską niemieckiego jedynie pochodzenia. Z najpiękniejszym wnętrzem uczelni, Aulą Leopoldiną, związane jest kuriozum, którym jest portret Fryderyka II. Po zdobyciu miasta w roku 1742 zażądał on, by stanowiący część galerii dobrodziejów akademii portret cesarza Rudolfa II zastąpić jego własnym, mimo że rządy Fryca były dla niej kataklizmem. Pojawienie się tego władcy przerwało budowę gmachu akademii, który miał być o jedną trzecią większy. Na parę dziesięcioleci zdegradował ją do roli seminarium duchownego, a prowadząc permanentne wojny, wspaniałą budowlę zamieniał w koszary, więzienie dla tysięcy jeńców, stajnie, magazyny, lazarety. W salach pełnych dzieł sztuki żołdactwo paliło ogniska, wybuchały pożary, perła architektury obracała się w ruinę. Aula Leopoldina miała sporo szczęścia zarówno w wieku XVIII, jak i w roku 1945. Połowę gmachu bomby obróciły wtedy w gruzy, ale najpiękniejsza aula przetrwała bez wielkich zniszczeń. A w niej galeria portretów wraz z podobizną Fryderyka II. Tylko jeden z nich należy dziś do pierwotnego wystroju auli. Wszystkimi innymi – zastępowano wcześniejsze, wyrzucając np. wizerun-

eprasa.pl 09e62a2192

ki papieży, by w ich miejsce powkładać pruskich dygnitarzy.

Kiedy w roku 1945 w ruinach akademii i późniejszego Universitat Breslau powstawał Uniwersytet Wrocławski, profesorowie wywodzący się głównie z Uniwersytetu Jana Kazimierza zastanawiali się nad dziedzictwem wypełniającym Aulę Leopoldinę. Marmurowa postać jej patrona nie budziła niechęci – cesarz Leopold był nie tylko fundatorem uczelni, ale i sojusznikiem Polski. W czasach potopu wsparł nas 16 tysiącami żołnierzy. Dowodzący nimi Melchior von Hatzfeld spoczywa w podwrocławskich Prusicach pod sarkofagiem z wizerunkami walk m.in. o Kraków i Poznań. Oczywisty wstręt budził jednak znajdujący się w auli portret Fryderyka. I mimo że w roku 1945 wszystko, co pruskie, wywoływało fatalne skojarzenia, wizerunku inicjatora I rozbioru nie usunięto, uznając obraz za część dzieła sztuki, którym jest Leopoldina. W roku 1997 została ona jednak okradziona i sześć portretów, w tym Fryderyka II, uznano za utracone bezpowrotnie. Czyż nie należałoby w tej sytuacji przywrócić do galerii dobrodziejów uczelni, tych, którzy naprawdę nimi byli? Należeli do nich papieże i królowie, których wizerunki odtworzyć można na podstawie ich znanych portretów. Zamiast tego mamy dziś w Leopoldinie najświeższej daty kopie wizerunków Fryderyka II i pruskich dygnitarzy. A nie mamy w tym najważniejszym dla Uniwersytetu wnętrzu godła Rzeczpospolitej Polskiej, które po ostatniej konserwacji – nie wróciło.

„Omnia per Polonia!”

To we Wrocławiu w 1816 roku powstała pierwsza polska korporacja akademicka, której hasłem było „Omnia per Polonia!”. W murach wrocławskiego uniwersytetu studiowali Marian Langiewicz, Józef Lompa, Adam Asnyk, Jan Kasprowicz, Wojciech Korfanty, Ignacy Chrzanowski, liczni uczestnicy wszystkich naszych powstań narodowych XIX i XX wieku. Wśród profesorów byli współtwórca współczesnej medycyny Jan Mikulicz-Radecki i wyniesiony do godności rektora filolog Władysław Nehring. Sensacją akademickich dziejów miasta były następstwa wykładu prof. Rudolfa Westphala, nacjom używającym deklinacji sześcioprzypadkowej przypisującego „przyrodzoną podrzędność”. Polemiczny głos polskich studentów doprowadził do wyzwania jednego z nich na pojedynek. Westphal w ustalonym przez sekundantów miejscu się nie zjawił, więc gazety wydrukowały protokół o jego „obraniu z czci i honoru”, a senat uniwersytetu ogłosił wydalenie ze społeczności akademickiej. Westphal zniknął wtedy jak kamfora, po latach karierę wznowił w Moskwie.

TRUD WYBITNEGO JĘZYKOZNAWCY PROF. STANISŁAWA ROSPONDA W OK. 90% POLEGAŁ NA PRZYWRACANIU PIERWOTNEGO, POLSKIEGO BRZMIENIA IMION TYSIĘCY WSI I OSIEDLI.

Przez całe stulecia Niemcy we Wrocławiu przeważali, ale obecność w nim Polaków zawsze była znacząca. Kiedy w 1806 roku miasto otoczyły wojska Napoleona, narodowy skład jego garnizonu przyczynił się do szybkiej kapitulacji. Dwie piąte stanowili w nim bowiem Polacy, ośmiuset zbiegło do Francuzów, wraz z którymi w zdobytym mieście znaleźli się też ułani Legionów Polskich, przyprowadzający tysiąc jeńców wziętych do niewoli po zwycięskich szarżach pod Szczawnem. W 1807 roku sformowano we Wrocławiu trzy polskie pułki. Wyspami polskości były przedmieścia, Ostrów Tumski (liczni polscy duchowni i niemal zawsze polski biskup pomocniczy), Ołbin z kościołem św. Michała – jednym z największych w mieście i zwanym polskim. Wprawdzie w spisie przeprowadzonym w roku 1910 narodowość polską zadeklarowało ledwie 3% wrocławian, jednak rzeczywista ich liczba mogła wynosić nawet 50 tysięcy. Gwałtownie zaczęło ich ubywać po roku 1918, gdy wrogość otoczenia wzrosła, a granica II RP była blisko. Idylliczny obraz tamtych czasów, ukazywany dziś w niezliczonych wystawach i książkach, mało ma wspólnego z prawdą. W skali poparcia dla NSDAP ówczesny Wrocław ścigał się z Gdańskiem, jako pierwszy dorobił się obozu koncentracyjnego, to w nim powstawały zręby ludobójczego Generalplan Ost. Na Polaków napadano, demolowano siedziby ich organizacji, nawet Konsulat RP. Od 1939 roku miasto wypełniało się przymusowymi robotnikami i więźniami obozów, wśród których Polacy należeli do najliczniejszych. Działał polski ruch oporu, ale – jak w przypadku siatki Olimp – kończyło się to śmiercią jego uczestników.

Wtórna germanizacja Wrocławia

W 1945 roku powszechne było wśród Polaków przekonanie, że za zabitą Warszawę Niemcy zapłacą

eprasa.pl 09e62a2192

Wrocławiem, a zwycięskie mocarstwa ziemie do Odry i Nysy uznały za rekompensatę połowy Polski anektowanej przez ZSRS. Miasto, które w 75% było kupą gruzów, jest dziś metropolią bardziej rozległą i ludną niż kiedykolwiek wcześniej. Większość wrocławian mieszka w domach od fundamentów zbudowanych w ostatnim osiemdziesięcioleciu. Coraz częściej dochodzi jednak do wynaturzeń historycznej narracji i symbolicznej przestrzeni Wrocławia. Według szydzących z polskości pisarek „nazwy miejscowe nadane w roku 1945 są brzydkie i bez polotu". A prawda jest taka, że trud wybitnego językoznawcy prof. Stanisława Rosponda w ok. 90% polegał na przywracaniu pierwotnego, polskiego brzmienia imion tysięcy wsi i osiedli. W postaci ledwie zniemczonej wszystkie one przetrwały aż do czasów Hitlera, kiedy powymyślano dla nich całkiem nowe, niemieckie, i które mimo totalitarnych realiów III Rzeszy nie zdołały wejść do pozaoficjalnego użytkowania. Z fasad pałaców zniknęły tablice informujące o ich powojennej odbudowie, podobnie jak płyty upamiętniające liczne filie obozów pracy. Rzadko żądanie ich przywrócenia przynosi skutek taki, jak w przypadku upamiętnienia Emanuela Kani, autora muzyki do „Ballad i romansów" Adama Mickiewicza czy Stefana Kulczyńskiego – polskiego lekarza, cudem ocalonego z łap Gestapo, a potem UB, którego dom służy dziś jako pałac ślubów.

Nawet Rok Józefa Wybickiego nie był we Wrocławiu powodem, by autora naszego hymnu upamiętnić na fasadzie domu, w którym mieszkał i napisał księgę „Życie moje". Tacy wrocławianie jak Witelon, pierwszy polski uczony rangi światowej, w pamięci miasta niemal nie istnieją. Nie jest jej godny autor tłumaczeń, bez których nie byłoby sporej części nauki renesansu oraz dzieł pionierskich dla okulistyki i optyki? Albo Benedykt Polak, który po wyruszeniu z Wrocławia jako pierwszy Europejczyk dotarł na Daleki Wschód? Było to 25 lat przed wyprawą Marco Polo, o którym ani słowa nie ma w żadnej z azjatyckich kronik, a misję wrocławianina, autora pierwszego słownika języków Wschodu, opisano tam ze szczegółami. Nawet gdy miasto było Europejską Stolicą Kultury, niewiele zrobiono dla promocji jego unikatowych dokonań.

W czasach Marka Grotowskiego i Henryka Tomaszewskiego Wrocław był przecież światowym centrum nowego teatru. Zaraz potem – bastionem walki z komunizmem, w którym setki audycji Radia Solidarność Walcząca emitowano siecią tajnych nadajników rozmieszczonych w każdej dzielnicy. Ilość drukowanej w podziemiu prasy (prawie 500 tytułów!) była większa niż poza granicami naszego kraju w całym sowieckim imperium od Łaby po Kuryle. Czy to nie większy powód do chwały od stworzonej w Pałacu Fryderyka II apoteozy Hohenzollernów, gloryfikującej nawet złodzieja polskich koron królewskich, który kazał je przetopić na polskie monety? Na bramy mostu w roku 1945 zniszczonego tak dalece, że nie runął tylko dzięki pryzmie opartych o dno Odry barek, po 80 latach mają wrócić godła Prus, Rzeszy Niemieckiej i niemieckojęzyczny napis wyrażający cześć dla Wilhelma II. Był most tego samego imienia w Berlinie, ale i tam je zmieniono, czci tej kanalii nadal oddawać tam nikt nie zamierza. A we Wrocławiu mamy takich, którzy starają się być bardziej niemieccy od samych Niemców.

Już powrót nazwy Hala Stulecia był pluciem w twarz każdemu, komu bliska jest polska niepodległość. Bo w nazwie tej przecież chodzi o pruski triumf pod Lipskiem przypieczętowujący kres Księstwa Warszawskiego, zakuwający Polskę w kajdany niewoli. Teraz kolejna dominanta Wrocławia cześć ma oddawać katom dzieci wrześnieńskich, wodzowi armii, która wojnę w Polsce zaczęła od spalenia Kalisza.

Artur Adamski w latach osiemdziesiątych był działaczem Solidarności Walczącej, autorem m.in. wywiadu rzeki z Kornelem Morawieckim.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 09e62a2192

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Po pierwsze Polska

6 sierpnia prezydent Karol Nawrocki złożył przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowym oraz wygłosił kapitalne orędzie. Orędzie, które z jednej strony bez wątpienia przejdzie do historii, a z drugiej mówi bardzo wiele o nadchodzącej prezydenturze.

Niech mi Państwo wybaczą, że drugi z rzędu felieton poświęcam prezydentowi Karolowi Nawrockiemu, ale nie mogę przejść obojętnie obok tego, co wydarzyło się 6 sierpnia w Warszawie. W ubiegłym tygodniu pisałem o tym, co może nas czekać. Dziś, gdy piszę aktualny felieton, wydaje mi się, że część prognoz zdążyła się już sprawdzić.

Myślę, że Karol Nawrocki 6 sierpnia zaskoczył wielu, w tym także ludzi prawicy. Wydaje mi się, że nie wszyscy spodziewali się tak dobrego i mocnego orędzia. Warszawa była znów centrum polskiego ducha. Nie tego pełnego cynizmu, ale głębokiego, suwerennego i zakorzenionego w historii. Prezydent – w myśl swojego kampanijnego hasła – wiele w nim miejsca poświęcił Polsce. Mówił więc o jej miejscu w Europie, suwerenności i potencjale, który niestety jest marnowany. Największą siłę miała jego wiara. Wiara w Polskę jako państwo poważne, myślące strategicznie, zdolne do obrony własnych interesów, ale też oferujące coś światu.

Prezydent przemówił do sumień i do serc Polaków. Po raz pierwszy od dawna usłyszeliśmy słowa, które niosły ze sobą nadzieję i siłę. Zamiast pustych frazesów – konkrety. Zamiast kalkulacji – przekonanie. Nawrocki nie próbował przypodobać się wszystkim. I dobrze. Prezydent mówił o Polsce dumnej, wiernej swoim wartościom i o państwie, które ma nie tylko słuchać obywateli, ale także ich prowadzić – ku dobru wspólnemu.

W orędziu prezydenta były pasja i poczucie misji. I była świadomość, że oto rozpoczyna się prezydentura nieprzypadkowa. Karol Nawrocki nie ukrywał, że będzie prezydentem obecnym – nie tylko w gabinetach, ale przede wszystkim w Polsce. To orędzie wielu przywróciło nadzieję. Na to, że Polska może być znów dumna z siebie oraz że może znów mówić własnym głosem – donośnie, wyraźnie, bez kompleksów. I że ten głos – na przekór wszystkim – będzie słyszalny nie tylko w Warszawie.

Prezydent nie oszczędzał też rządu. Karol Nawrocki wymierzył kilka ciosów pod adresem gabinetu Donalda Tuska, a wściekła mina premiera świadczyła o tym, że były one niezwykle celne. Tusk musiał więc słuchać o nielegalnym przejęciu Prokuratury Krajowej, niszczeniu praworządności, a także niszczeniu państwa. „Największy wirtuoz z puli Ojców Niepodległości Ignacy Paderewski z właściwą sobie gracją dodawał, że walczyć trzeba z tymi, którzy naród pchają do upadku i upodlenia” – mówił prezydent. Cóż, nic dodać, nic ująć.

eprasa.pl 09e62a2192

– Faktem jest, że we Wrocławiu w różnych miejscach podczas remontów pokazują się napisy czy symbole pozostawione przez poprzednich mieszkańców Wrocławia. Na poręczach jednego z wrocławskich mostów (Szczytnickiego), który w drugiej połowie lat 30. otrzymał imię Hitlera, motywem ozdobnym jest orzeł trzymający w łapach tarczę – obecnie pustą, ale wcześniej była tam swastyka... – mówi prof. **Krzysztof Kawalec** w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

„Historyczne" swastyki TEŻ MAJĄ WRÓCIĆ?

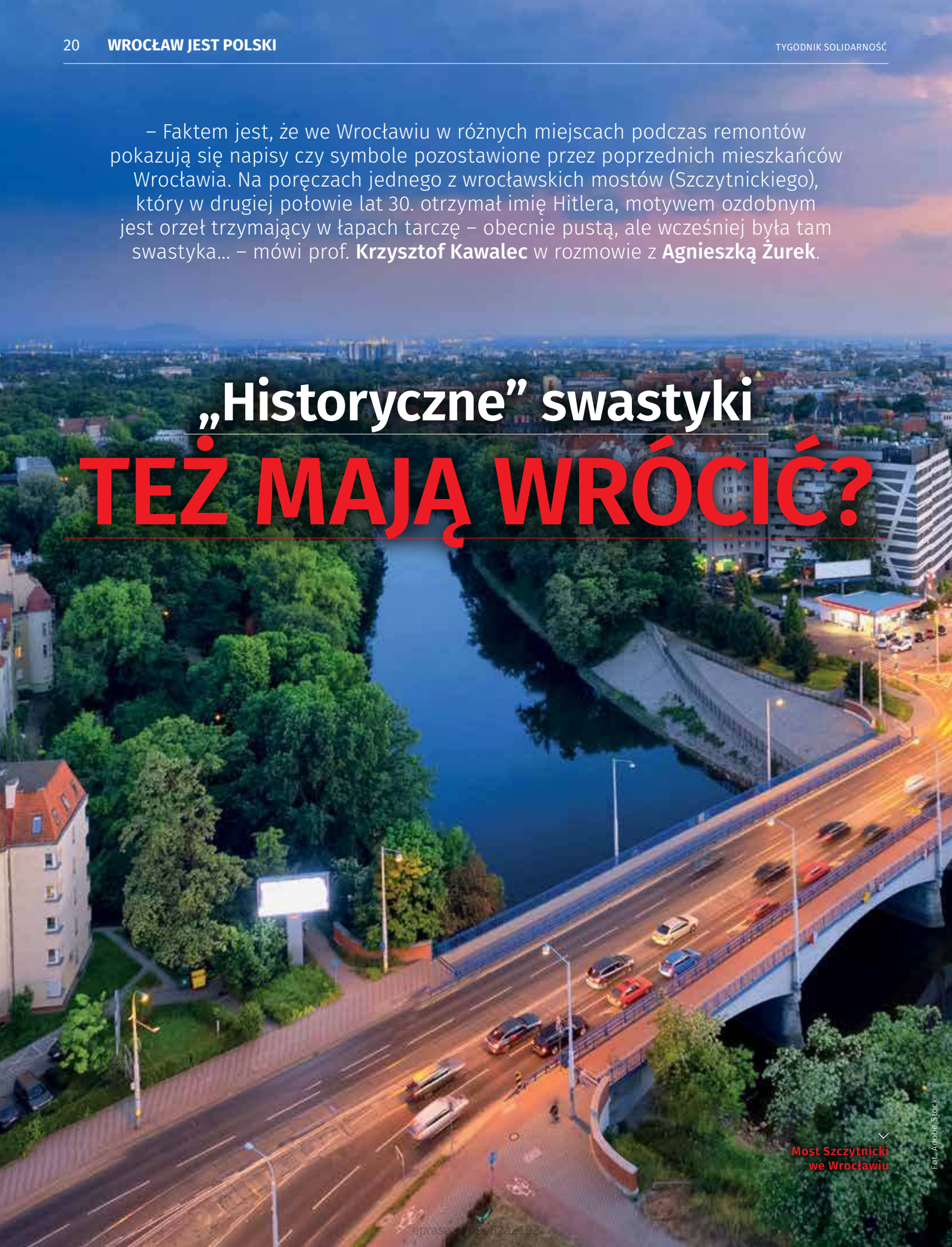

Most Szczytnicki we Wrocławiu

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 09e62a2192

fot. arch. K. Kawalca

– Niedawno pojawił się pomysł umieszczenia na wrocławskim moście Grunwaldzkim historycznej tabliczki „Kaiserbrücke" („most Cesarski") z czasów panowania Wilhelma II. Kim był Wilhelm II, czy warto tę postać honorować i czy powinni to robić akurat Polacy?

– Mam wątpliwości, czy ktokolwiek chciałby Wilhelma II upamiętniać, i odnosi się to również do Niemiec. To jest władca, który ponosi znaczną część odpowiedzialności za pchnięcie Niemiec, będących wówczas kwitnącym państwem, jednym z supermocarstw światowych, w wojnę, która zakończyła się dla nich katastrofą. Trzeba także przypomnieć, że była ona prowadzona w sposób okrutny, łamiący prawo międzynarodowe, i że niemiecki władca się do tego przyczyniał. W wyniku swoich działań znalazł się na alianckiej liście zbrodniarzy wojennych. Lista ta liczyła kilka tysięcy nazwisk, jednak z różnych powodów do ukarania zbrodniarzy po I wojnie światowej nie doszło. Nie były to czasy Norymbergi, a niemiecki wymiar sprawiedliwości wówczas zawiódł. Wilhelm II w końcowych dniach wojny abdykował i ukrył się w Holandii, a alianci nie bardzo się starali, żeby został im wydany i osądzony.

Z perspektywy czasu można zrozumieć przyczyny tej powściągliwości. Tak spektakularne rozprawienie się z dawnym państwem niemieckim byłoby wodą na młyn komunistów, zwiększając ryzyko przewrotu społecznego w Niemczech – tego, że kraj ten poszedłby drogą sowiecką. To rzeczywiście byłaby katastrofa dla świata, także i z polskiej perspektywy. Ale uwzględniając sytuacyjne subtelności, nie ma powodu, żeby traktować Wilhelma II ciepło. Był człowiekiem próżnym, groteskowym, z „parciem na szkło" – wówczas jeszcze rzecz jasna nie telewizyjne, ale aparatu fotograficznego. Jego rozbuchane ego w sytuacji narastającego napięcia grożącego wojną stało się jednym z czynników, który doprowadził do katastrofy. Cesarz bał się ryzyka wojennego, ale nie odważył się przeciwstawić swoim generałom. A kiedy już wojna wybuchła, popierał prowadzenie jej w sposób bezprecedensowo bezwzględny.

– W jaki sposób skomentuje Pan słowa profesora Bogusława Czechowicza, z którym polemizował Pan już na łamach „Gazety Wrocławskiej", o tym, że „Polska niepodległa zakotwiczona jest w cesarskim Berlinie"?

– Pierwsza wojna światowa była konfliktem o skali globalnej i można dowodzić, że gdyby do niego nie doszło, nie byłoby szans na tak istotną zmianę mapy politycznej, jak ta, która zakończyła się zmianą całej mapy Europy Środkowo-Wschodniej. Polska nie była jedynym krajem, który odzyskał wówczas niepodległość. Można więc powiedzieć, że agresywni politycy, do których należał Wilhelm II, przyczynili się mimochodem do rozpadu imperiów i uwolnienia się narodów. Nie może nam jednak

znikać z pola widzenia fakt, że nie to było ich intencją. Przecież wojna okazała się katastrofą także i dla nich. Klęska wojenna, skutkująca zapewnieniem wolności narodom Europy Środkowo-Wschodniej, na pewno nie leżała w celach imperialnej polityki niemieckiej. Narody zyskały wolność, bo imperia (Rosja, Austro-Węgry oraz Niemcy) poniosły klęskę. Jeżeli wskazuje się na Józefa Piłsudskiego jako na twórcę niepodległości, to rolę, którą on odegrał na terenie Polski, kiedy się tam znalazł, zawdzięczał temu, że dzięki rewolucji niemieckiej i obaleniu Wilhelma wyszedł z niemieckiego więzienia. Sprowadzając do absurdu dowodzenie, jaki to Wilhelm II był dla nas dobry, można powiedzieć, że był dobry dlatego, że Piłsudskiego „tylko" uwięził, a nie uśmiercił. Jak w dowcipie o dobrym Leninie, który pogłaskał dziecko po głowie, a mógł zastrzelić. Nie możemy stawiać na piedestał ludzi, którzy wyróżnili się tym, że do długiego łańcuszka zbrodni nie dołożyli jeszcze jednej.

– Przywołam jeszcze jeden cytat z pana profesora Czechowicza. „Do zmiany nazwy mostu [Grunwaldzkiego] droga chyba jeszcze daleka, ale na pewno jest czas na przywrócenie inskrypcji « Kaiserbrücke », także po to, by drążyła umysły zniewolone, przesycone absurdalną, delikatnie rzecz ujmując, niechęcią do wszystkiego, co niemieckie". Jak Pan to skomentuje?

– Cóż, powtórzę, co napisałem w polemicznym tekście opublikowanym w „Gazecie Wrocławskiej": takie stawianie sprawy jest szantażem intelektualnym. Oczywiście możemy uważać, że miarą wielkości naszego ducha jest to, że będziemy w różnych miejscach umieszczać napisy o treści jątrzącej, ale czy to ma sens? Czy mało u nas podziałów i koniecznie trzeba tworzyć nowe – na przykład poprzez umieszczanie w przestrzeni publicznej treści, które znaczną część opinii publicznej drażnią? Bo tu w grę wchodzą odwołania przecież nie do dziedzictwa kulturowego niemieckiego, ale do spadku po Prusach – państwie rozwiązanym w 1947 r. przez mocarstwa sprzymierzone.

Szerszą kwestią jest, czy warto podważać (jest modne słowo „dekonstruować") mity konstytuujące daną społeczność, nawet jeśli nie akceptujemy ich w całości. Zalecałbym ostrożność. To jest bowiem sfera delikatna i niepozbawiona istotnego znaczenia dla funkcjonowania instytucji demokratycznego państwa prawa. Jeżeli wspólnota jest oparta na razem przeżywanych wartościach, to ludzie czują większą odpowiedzialność za to, co się z tą wspólnotą – a w efekcie z całym państwem – dzieje. Jeżeli uważają się za zbiorowość przypadkowo zebraną, mieszkającą nie na „swoim", ale na miejscu urządzonym przez kogoś innego, o wiele trudniej wówczas o obywatelskie postawy. Więcej poczucia odpowiedzialności mamy za to, co uważamy za swoje. Jeżeli rządzący, w tym przypadku miasto, szanują ludzkie emocje i nawyki, nie wyśmiewają ich i nie próbują ich w sposób obcesowy zmieniać, wówczas – sądzę – dana społeczność funkcjonuje w niej lepiej.

NIE MOŻEMY STAWIAĆ NA PIEDESTAŁ LUDZI, KTÓRZY WYRÓŻNILI SIĘ TYM, ŻE DO DŁUGIEGO ŁAŃCUSZKA ZBRODNI NIE DOŁOŻYLI JESZCZE JEDNEJ.

CZY WARTO PODWAŻAĆ MITY KONSTYTUUJĄCE DANĄ SPOŁECZNOŚĆ, NAWET JEŚLI NIE AKCEPTUJEMY ICH W CAŁOŚCI?

– Głośno było ostatnio o kwestii umieszczenia portretu króla Prus Fryderyka II w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Zniknęło stamtąd z kolei polskie godło. Jakiś czas temu we Wrocławiu ogłoszono także akcję pod tytułem „Spod tynku patrzy Breslau" mającą na celu stworzenie mapy niemieckich śladów w tym mieście. Mamy do czynienia z germanizacją Wrocławia? A jeśli tak – czemu to służy?

– To jest skomplikowana rzecz, bo jeżeli wyjdziemy od diagnozy, że mamy do czynienia z germanizacją miasta, łatwo taką tezę wyśmiać, mówiąc, że jeden czy drugi napis

eprasa.pl 09e62a2192

nie ma wpływu na przynależność polityczną całego obszaru. No bo nie ma, na pewno napisy nie zmieniają przynależności terytorialnej miasta. Czy jednak oznacza to, że można wydobywać spod tynku wszystko, co się spod niego wyłania? Mam wątpliwości.

Pytanie ogólne, które bym tutaj postawił, brzmi: Kto jest ważniejszy – kamienie czy ludzie? Dziedzictwo materialne czy pragnienia mieszkańców? Faktem jest, że we Wrocławiu w różnych miejscach podczas remontów pokazują się napisy czy symbole pozostawione przez poprzednich mieszkańców Wrocławia. Różnie to wygląda: na klatce schodowej domu, w którym mieszkałem, spod odłupującej się farby ukazywały się szare linie układające się w pruskiego orła ze swastyką w łapach, zamalowywane przy kolejnych remontach. Na poręczach jednego z wrocławskich mostów (Szczytnickiego), który w drugiej połowie lat 30. otrzymał imię Hitlera, motywem ozdobnym jest orzeł trzymający w łapach tarczę – obecnie pustą, ale wcześniej była tam swastyka...

Oczywiście nikt przytomny nie powie, by ją przywrócić. Ale to jest powód, by jednak nie stosować bezwarunkowo filozofii działania historyków sztuki: że jeżeli istnieje świadectwo przeszłości, to obowiązkowo musi być ono utrzymane w swej integralnej formie. Trzeba zrozumieć, że są i muszą być wyjątki od tej zasady. To się odnosi i do pytania o aulę uniwersytecką. Fryderyk II podobno tam straszył. Podobnie jak potem Bolesław Bierut. Aula Leopoldina ma kilkaset lat i wiele pamięta. Jest ona jednak nie tylko salą muzealną, po której oprowadza się turystów, ale też częścią państwowej uczelni wyższej, reprezentacyjnym miejscem, gdzie inauguruje się rok akademicki i wręcza dyplomy. Nie wyobrażam sobie, by godło państwowe tam nie wróciło.

Pytanie o cel „germanizacji" Wrocławia zakłada racjonalność łańcuszka bulwersujących poczynań. Tymczasem ta racjonalność wcale nie jest pewna. Przypuszczam, że w wielu wypadkach chodzi głównie o to, by odróżniać się od prawej strony sceny politycznej. Czasem również o to, by irytować lub aby zaistnieć. W grę mogą wchodzić i względy biznesowe: odkurzenie śladów pruskiej przeszłości miasta być może jest pomysłem na przyciągnięcie większej liczby turystów z pobliskich Niemiec. Jeśli tak, to byłaby w tym jakaś kalkulacja. Tyle że – nie wchodząc w kwestie godnościowe, chociaż nie są one bez znaczenia – pojawia się pytanie: kogo chcemy przyciągnąć? Czy turystę szukającego tu śladów takiej niemczyzny, których nie znajdzie już we własnym kraju, ponieważ RFN jest krytyczna wobec swojego dziedzictwa nie tylko brunatnego, ale i tego z okresu wojowniczego imperializmu Wilhelma II? Czy to ma sens? I czy nie skończy się tym, że w jakiejś nowojorskiej gazecie ukaże się napastliwy tekst, którym poczujemy się obrażeni, ale niesłusznie, bo jeśli się bawimy w przywoływanie z niemieckiego dziedzictwa akurat tych jego elementów, które są w nim najgorsze, to się trzeba liczyć z konsekwencjami.

REPUBLIKA FEDERALNA NIEMIEC JEST KRYTYCZNA WOBEC SWOJEGO DZIEDZICTWA NIE TYLKO BRUNATNEGO, ALE I TEGO Z OKRESU WOJOWNICZEGO IMPERIALIZMU CZASÓW WILHELMA II.

– Tak, i jeszcze niemiecka swastyka stałaby się nagle emblematem polskim, stanowiąc doskonałe uzupełnienie skandalicznej wypowiedzi minister edukacji narodowej o „polskich nazistach".

– Nie wierzę, żeby ktokolwiek chciał przywrócić swastykę na moście Szczytnickim. Powinniśmy jednak pamiętać, że pojawianie się w przestrzeni publicznej kontrowersyjnej symboliki idzie na konto polskich rządów. To my jesteśmy odpowiedzialni za to, co robimy w naszym kraju. Powinniśmy więc pamiętać o tym, żeby przekaz, który wychodzi z Polski, nie był zrelatywizowany, zwłaszcza że będzie odczytywany także w miejscach, gdzie się Polski zwyczajnie nie lubi.

Prof. Krzysztof Kawalec jest historykiem. Urodził się we Wrocławiu, z którym związał całe swoje życie prywatne i zawodowe. Zajmuje się historią myśli politycznej, historią Polski i powszechną XIX i XX wieku. Jest związany z Uniwersytetem Wrocławskim i Instytutem Pamięci Narodowej, gdzie pracuje w Oddziałowym Biurze Badań Historycznych we Wrocławiu. Jest pracownikiem Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN.

eprasa.pl 09e62a2192

Potęga nostalgii.
Rzecz o niemieckim rewizjonizmie

Nostalgia to słowo osnute mgłą melancholii i zapomnienia. Brzmi więc niewinnie – jak coś miękkiego, nieszkodliwego, może nawet świadczącego o słabości ducha, skłonności do rozczuleń lub neurastenii. Sytuacja zmienia się jednak **diametralnie**, gdy nostalgię odczuwają Niemcy, a jej obiektem są ziemie znajdujące się w dawnych granicach III Rzeszy.

Ludwik Pęzioł

Rys. Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl 09e62a2192

Dyskusja o rewizji granic przez lata wydawała się tematem zamkniętym na cztery spusty. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że w ostatnim czasie raz po raz niemieccy politycy, działacze społeczni czy dziennikarze próbują podważyć konsensus zawarty w traktacie granicznym z 1990 roku. Czy to tylko tania próba autopromocji, niezgrabność komunikacyjna – czy może świadome sondowanie gruntu pod coś znacznie poważniejszego? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie bez zbędnych emocji.

Kraina dzieciństwa

Jeżeli demokratyczny polityk porusza w debacie dany temat, to najpewniej dlatego, że wyczuwa w nim potencjalne źródło choćby niewielkiego poparcia. Stąd rodzi się pytanie: czy elektorat „niemieckiej nostalgii" jest na tyle istotny, by współczesne niemieckie partie polityczne zechciały się o niego ubiegać?

Nostalgia za dawnymi ziemiami niemieckimi – tymi, które przed 1945 rokiem znajdowały się w granicach III Rzeszy – wciąż może być obecna wśród przesiedleńców oraz ich potomków. Po II wojnie światowej około 8–12 milionów Niemców zostało wysiedlonych z terenów dzisiejszej Polski, Czech i krajów bałtyckich – w tym z takich regionów jak Śląsk, Pomorze Zachodnie czy Prusy Wschodnie. Choć większość z pierwszego pokolenia przesiedleńców już nie żyje, a ich dzieci i wnuki są zazwyczaj w pełni zasymilowane w nowych miejscach zamieszkania, więź z „utraconą ojczyzną" bywa wciąż podtrzymywana w ramach rodzinnej pamięci. W niektórych środowiskach nadal pielęgnuje się wspomnienia dawnych niemieckich miast – takich jak „Breslau", „Stettin" czy „Königsberg" – a także poczucie krzywdy na tle strat majątkowych (dowodzą tego regularnie nagłaśniane przez media sprawy sądowe wytaczane przez Niemców Polakom). Choć bez wątpienia większość osób z tego kręgu żyje dziś zupełnie innymi sprawami, to nawet przy ostrożnym założeniu, że 5–10% przesiedleńców i ich potomków mogłoby przychylnie patrzeć na otwarcie debaty rewizjonistycznej, otrzymujemy grupę wyborców, która: z jednej strony jest wystarczająco duża, by wzbudzić apetyt partii, z drugiej – zbyt mała, by ponosić dla niej poważne ryzyko i czynić poważnym podmiotem strategii politycznej. „Złotym środkiem" dla niemieckich polityków wydają się więc działania nieoficjalne: subtelne, dwuznaczne gesty, które rozumieją tylko ci, do których są one skierowane, lub takie, z których się łatwo wycofać. To właśnie na tym gruncie rozwija się dwuznaczny język rewizjonistyczny.

Służą temu dwie taktyki komunikacyjne: słynny „psi gwizdek" oraz tzw. przejeżdżanie prętem po kratach. Pierwsza polega na formułowaniu wypowiedzi w taki sposób, by były niewidzialne dla większości odbiorców, ale doskonale zrozumiałe dla określonej grupy – np. „nostalgicznych" potomków przesiedleńców czy skrajniejszych środowisk nacjonalistycznych. Druga, bardziej konfrontacyjna, to świadome łamanie tabu i korzystanie na podniesionym przez oburzonych larum. Obie te strategie bywają stosowane przez niesławną AfD. Ta partia nie formułuje wprost postulatów rewizji granic, ale odwołuje się do kodów kulturowych i symboliki, które mają uruchamiać odpowiednie skojarzenia. Przykładowo: w 2018 roku Alice Weidel, współprzewodnicząca AfD, mówiła o „Niemcach Środkowych" (Mitteldeutsche), odnosząc się do byłej NRD; z kolei Alexander Gauland, jeden z głównych ideologów partii, w rozmowie z „Frankfurter Allgemeine Zeitung" w 2017 roku określił pakt Ribbentrop-Mołotow jako „czysto pragmatyczny" i „uzasadniony z punktu widzenia niemieckiej racji stanu". Okazuje się jednak, że dwuznaczności nie są zarezerwowane wyłącznie dla wzdychającej do zamierzchłych germańskich bóstw niemieckiej „skrajnej prawicy". W 2021 roku na oficjalnym profilu niemieckiej SPD w mediach społecznościowych opublikowano grafikę z zaznaczoną wschodnią granicą Niemiec i strzałkami skierowanymi w stronę Polski. Po fali krytyki tłumaczono się „niedopatrzeniem graficznym", jednak sygnał został wysłany, a (lichej, ale zawsze) furtki użyto do szybkiej ewakuacji.

Na tym etapie nie można jeszcze mówić o realnym zagrożeniu dla obecnych granic Polski, jednak już teraz lepiej dmuchać na zimne, bo sam proces „oswajania" rewizjonizmu, nawet tylko jako produkt uboczny

„NOSTALGICZNI" NIEMCY CZĘSTO ZNAJDUJĄ WSPÓLNY JĘZYK Z POLSKIMI HISTORYKAMI REGIONALNYMI, KTÓRZY PROMUJĄ WIZJĘ „WIELONARODOWEJ HISTORII POGRANICZA".

eprasa.pl 09e62a2192

tworzenia „antyestablishmentowej” narracji przez AfD, jest już potencjalnie niebezpieczny. W warunkach radykalizacji młodego elektoratu, niechęci do „poprawności politycznej” we wszelkich przejawach i wzrostu popularności nurtów antysystemowych każda taka gra z symboliką dawnej niemieckiej wielkości może z czasem prowadzić do erozji dotychczasowego (działającego na korzyść Polski) konsensusu.

Rewizjonizm symboliczny

Rewizjonizm niejedno ma imię. Najbardziej złowieszczy jego wariant to ten, który wprost kwestionuje ustalone granice terytorialne. Ale zanim do tego dojdzie (jeśli w ogóle), często przyjmuje on formę bardziej subtelną. Zaczyna się od podważania historycznej i kulturowej przynależności konkretnych miast do państwa, którego częścią są obecnie. Taki zabieg tworzy intelektualne i emocjonalne podglebie pod ewentualne przyszłe roszczenia – a zarazem wpisuje się w modny etos „ochrony dziedzictwa kulturowego”.

Nieprzypadkowo spory o pomniki, nazwy ulic czy tablice pamięci budzą dziś tyle emocji. Choć mogą się wydawać lokalnymi incydentami, są częścią szerszej batalii o kształt pamięci zbiorowej. W tych debatach „nostalgiczni” Niemcy często znajdują wspólny język z polskimi historykami regionalnymi, którzy promują wizję „wielonarodowej historii pogranicza”. To podejście pełne rozczulenia nad utraconą tolerancją dla „innego” niekiedy przeradza się w tęsknotę za dawnymi „idyllami”, będącymi projekcją liberalnej wyobraźni. Jednym z najbardziej znanych symbolicznych aktów tego rodzaju było przywrócenie przez niemieckojęzycznych przewodników i redaktorów folderów turystycznych dawnej nazwy „Kaiserbrücke” mostowi Grunwaldzkiemu we Wrocławiu. Inne przykłady są mniej znane, lecz również znaczące. Jakub Schergaut, badacz niemieckiego rewizjonizmu, przypomina choćby działalność magazynu „Compact”, który w swoim sklepie internetowym sprzedawał srebrne medale i mapy upamiętniające „niemieckie ziemie wschodnie” – jako swoiste relikwie utraconej ojczyzny.

Nie sposób też nie zauważyć, jak bardzo w ostatnich latach promowany jest kult „wypędzonych” – często z elementami heroizacji i dramatyzowania. Muzeum Wypędzonych w Berlinie, otwarte w 2021 roku, wzbudziło kontrowersje m.in. przez sposób przedstawiania niemieckich przesiedleńców jako ofiar historii, w oderwaniu od kontekstu II wojny światowej i roli Niemiec jako sprawcy. W skrajnych przypadkach pojawiają się próby zestawiania losu wypędzonych z losem ofiar Holocaustu. Ten symboliczny rewizjonizm przenika również do języka. Coraz częściej mówi się o „tragicznych wydarzeniach 1945 roku”, unikając słów takich jak „klęska” czy „zbrodnie niemieckie”. W niektórych środowiskach intelektualnych krytykowana jest niemiecka Erinnerungskultur (kultura pamięci) jako rzekomo opresyjna, generująca „kompleks winy” i utrudniająca Niemcom „normalne” życie narodowe.

Najbardziej zaś subtelną, a zarazem najniebezpieczniejszą formą rewizjonizmu symbolicznego jest jednak tzw. europeizacja pamięci historycznej – idea promowana szczególnie przez postępowe środowiska akademickie i instytucje unijne. W ich narracji czarno-biały podział na sprawców i ofiary, a także pamięć o heroicznym oporze wobec zła traktowane są jako paliwo dla uczuć nacjonalistycznych stojących na drodze pogłębionej integracji europejskiej. Remedium ma być wspólna, ponadnarodowa opowieść o „cierpieniach wszystkich Europejczyków” w XX wieku – opowieść, która w praktyce często oznacza relatywizację odpowiedzialności i zacieranie różnic między agresorem a ofiarą. Niewątpliwie proces ten działa na korzyść obciążonych największymi winami, a więc – Niemców.

> NAJBARDZIEJ SUBTELNĄ, A ZARAZEM NAJNIEBEZPIECZNIEJSZĄ FORMĄ REWIZJONIZMU JEST TZW. EUROPEIZACJA PAMIĘCI HISTORYCZNEJ.

Wszystkie wspomniane procesy to zjawiska realne – choć rozwijające się powoli, niemal niedostrzegalnie. Dla postronnego obserwatora mogą jawić się raczej jako interesujące spory akademickie, dobrze wpisujące się w liberalny klimat współczesnej Europy. Ale właśnie w tej pozornej niewinności kryje się ich skuteczność – i trudność w przeciwdziałaniu. Dlatego reakcja na symboliczny rewizjonizm nie powinna przybierać formy histerycznego alarmu. Emocje jedynie pomagają przedstawić przeciwnika jako „histeryka”, a histeryk przecież z zasady nie ma racji. Warto więc odpowiadać z rozwagą, spokojnie, ale stanowczo. I systematycznie – bo rewizjonizm, nawet ten w białych rękawiczkach, zawsze karmi się brakiem czujności.

eprasa.pl 09e62a2192

Wrocławskie alternatywy

Wrocław kojarzy mi się ze skrajnościami. Ze zjawiskami z pogranicza **zgrywu, prowokacji i śmiertelnej powagi**. Z eksperymentem artystycznym doprowadzonym do ściany. Zaczynem tego ryzykanctwa – zaryzykuję – były powojenne przetasowania kulturowe.

Monika Małkowska

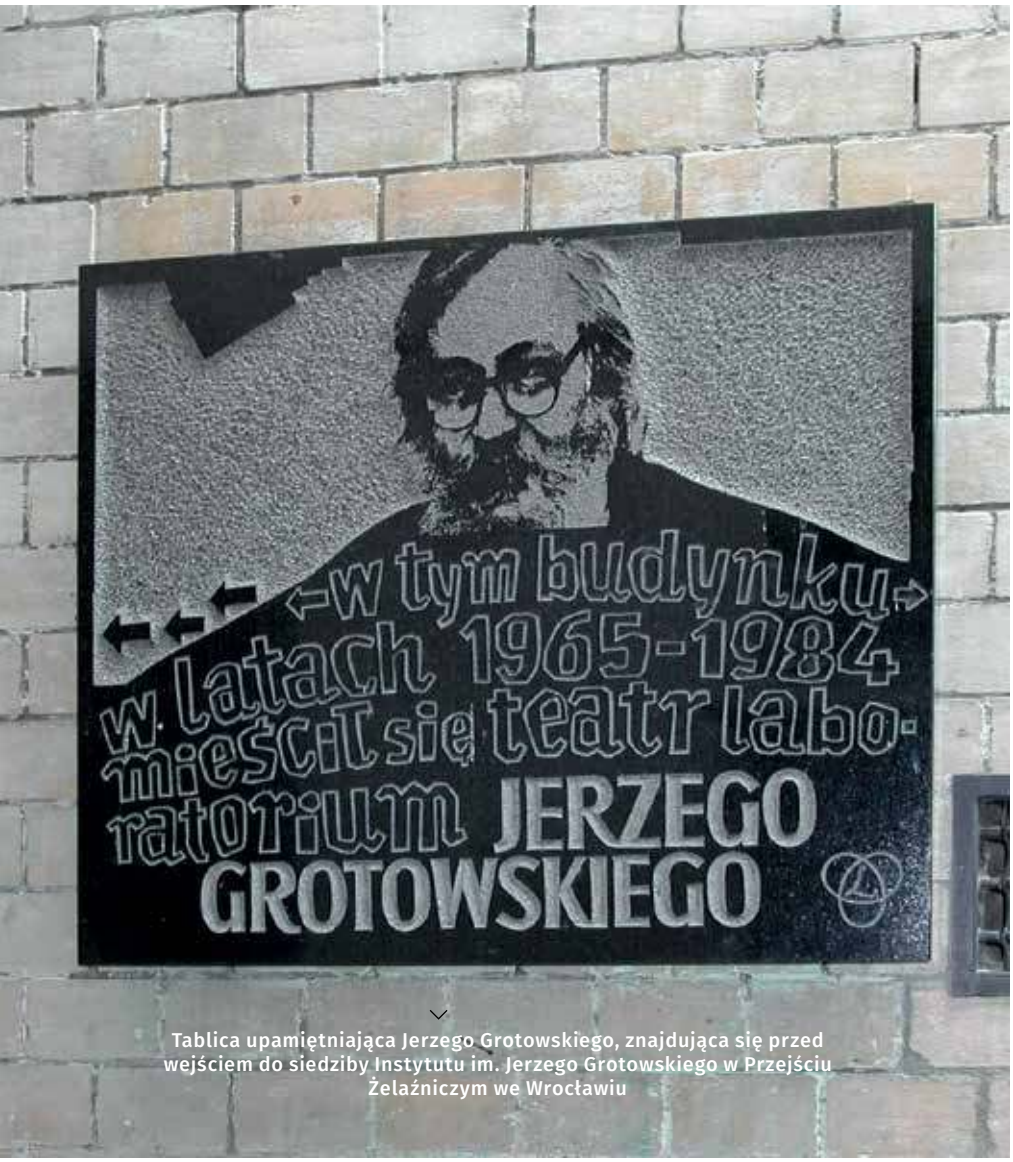

Tablica upamiętniająca Jerzego Grotowskiego, znajdująca się przed wejściem do siedziby Instytutu im. Jerzego Grotowskiego w Przejściu Żelaźniczym we Wrocławiu

Fot. Wikimedia Commons

Breslau, przed wojną prawie milionowa aglomeracja, po 1945 roku zamienił się w „dzikie pola": zniszczeniu uległo około 70% tkanki miasta, większość autochtonów ewakuowano (około 700 tysięcy osób!) lub przymusowo przesiedlono. Powojenny zdewastowany Wrocław (w 1945 roku w spisie powszechnym liczył ledwie 170 tys. mieszkańców) zamienił się w „przytulisko" dla polskiej ludności napływowej wysiedlanej z Kresów Wschodnich oraz Polski Centralnej. Tak oto do miasta gotyckich kościołów i radykalnej koncepcji urbanistycznej, realizowanej przez dwie pierwsze dekady XX stulecia pod okiem niemieckiego architekta i polityka Maxa Berga (przypomnę: najsłynniejsza jego budowla to Hala Stulecia z 1924 roku wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO), przybyli ludzie z zupełnie innymi tradycjami i estetyczną wizją. Trochę trwało, zanim na Ziemiach Odzyskanych udało się uporządkować zamęt, ustały międzyludzkie konflikty, zabliźniły się rany osobiste. Jednak pod koniec lat 50. nastąpiła prawdziwa erupcja twórczej inwencji, i to w różnych dyscyplinach. Wrocławski tygiel wydał twórcze owoce rzutujące na całą rodzimą kulturę, a także na plan ogólnoświatowy.

Zaczęło się w Laboratorium

Awangarda nie uznawała ograniczeń gatunkowych. Jedna dziedzina i zrodzone w jej obrębie koncepcje promieniowały na inne pola kreacji. Znamienny przykład – pokrewieństwo teatru eksperymentalnego i performance'ów. Toteż zanim dojdziemy do najbardziej dziś rozpoznawalnego wrocławskiego interdyscyplinarnego działania – Pomarańczowej Alternatywy – warto przywołać wcześniejszy wrocławski fenomen, także trudny do ujęcia w jednogatunkowe ramy. Instytut Badania Metody Aktorskiej, czyli Teatr Laboratorium Jerzego

eprasa.pl 09e62a2192

Grotowskiego. Zjawisko, które podbiło świat. Połowa lat 60., premiery dwóch kolejnych wariantów „Księcia niezłomnego" w reżyserii Jerzego Grotowskiego. W 1967 roku Grotowski z zespołem prezentują kilka pokazów zamkniętych spektaklu (zarzuconego) „Ewangelie". Etiudy obrazujące życie Jezusa i współczesny wymiar postawy chrześcijańskiej to jednak wstrząs w dobie PRL-u. Przedstawienie, choć niedoprowadzone do finału, znajduje kontynuację w przełomowym dziele Grotowskiego – „Apocalypsis cum figuris", w którym teksty z Biblii zderzały się z cytatami z Fiodora Dostojewskiego, Thomasa Stearnsa Eliota i Simone Weil. Laboratorium robi światową karierę, choć aktorzy (zwłaszcza Ryszard Cieślak) płacą za to najwyższą cenę. To właśnie ta ekstaza, przekraczanie granic sacrum i profanum, zacierania podziału pomiędzy twórcą i odbiorcą, stały się znakiem rozpoznawczym kreacji znad Odry. Grotowski od 1973 roku przedsiębrał otwarte dla każdego projekty treningowo-performatywne, na które zjeżdżali uczestnicy z całego świata. Dziewięć lat później, podczas stanu wojennego, mistrz wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Jednak jego doświadczenia – choć nie w tak ekstremalnej formie – podejmowali inni artyści, którym na pozór daleko było do Laboratorium.

Trochę klasyki

Lata 60. i 70. to był czas, kiedy nie kasa, lecz prywatne kontakty decydowały o profilu i randze zbiorów narodowych muzeów. We Wrocławiu tamtych lat rolę arbitra pełnił Mariusz Hermansdorfer (urodzony w 1940 roku we Lwowie), wieloletni dyrektor Muzeum Narodowego. Kierował placówką przez 30 lat (1983–2013), lecz jego estetyczne decyzje wyznaczyły profil MNW już dekadę wcześniej, kiedy pełnił funkcję kustosza działu sztuki współczesnej. Na tamte czasy – prawdziwy wizjoner, nieunikający ryzyka kupowania dzieł młodych/nieznanych artystów. Hermansdorfer stworzył od podstaw jedną z najwybitniejszych kolekcji polskiej sztuki współczesnej, wówczas powstającej na bieżąco. Odmiennie niż inni dyrektorzy nie ograniczał się do zakupów pojedynczych obiektów, nie bał się kupować większych ciągów, bo widział w tym historyczny sens – dzięki czemu Wrocław może poszczycić się niemal gotowymi zestawami do wystaw indywidualnych. Magdalena Abakanowicz, Władysław Hasior, Jan Tarasin, Jerzy Nowosielski, Jerzy Kalina... to tylko ci najsławniejsi, bez których trudno wyobrazić sobie panoramę współczesnej sztuki polskiej. „To dzięki niemu istnieje Muzeum Narodowe, Panorama Racławicka i Muzeum Etnograficzne, a także Pawilon Czterech Kopuł, z unikalną kolekcją polskiej sztuki współczesnej" – wspominano zasługi Hermansdorfera. Taaa... Przypominam tę postać i jego dokonania, bo to jeden z ważniejszych punktów panoramy wrocławskiej kultury. Nie dla wszystkich oczywisty.

Guru awangardy

Dekadę starszy był Jerzy Ludwiński. Urodzony w 1930 roku we wsi Zakrzówek w Lubelskiem, w latach 1950–1955 studiował historię sztuki na KUL – a był to czas stalinizmu, od którego co bardziej niezależne umysły uciekały na humanistyczne wydziały Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Trudno to sobie dziś wyobrazić: apogeum socrealizmu, a oni tam knują, snują swoje wizje, pod prąd ówczesnej doktrynie, bez strachu. Ludwiński pełnił wiele ról: teoretyka i współzałożyciela Grupy „Zamek", redaktora (w „Strukturach", lata 1959–1961, potem w „Odrze"), organizatora sympozjum w Puławach „Sztuka w zmieniającym się świecie" (1966). Najważniejsze: przeprowadzka do Wrocławia i organizacja Galerii Pod Moną Lizą oraz Ośrodka Dokumentacji Sztuki. Zdaniem wielu to tam narodził się polski konceptualizm. Kiedy teraz o tym myślę, to uważam, że było to zjawisko zbieżne, a nawet wyprzedzające „ducha czasów". W PRL-u stan posiadania większości rodaków był raczej skromny – a konceptualizm (sztuka koncepcji) współgrał z materialnym ubóstwem obywateli swym „nieistnieniem". Niestety, filozoficzno-teoretyczny podkład tych „projektów" często zamieniał się w niby-intelektualny bełkot. Ale słuchano tego z otwartymi gębami: raptem dekadę po socu brzmiało to jak eksplozja twórczej wolności.

POD KONIEC LAT 50. NASTĄPIŁA PRAWDZIWA ERUPCJA TWÓRCZEJ INWENCJI, I TO W RÓŻNYCH DYSCYPLINACH. WROCŁAWSKI TYGIEL WYDAŁ TWÓRCZE OWOCE RZUTUJĄCE NA CAŁĄ RODZIMĄ KULTURĘ, A TAKŻE NA PLAN OGÓLNOŚWIATOWY.

eprasa.pl 09e62a2192

Architektura, rysunek, polityka

Długo by wyliczać, co „jedyne w Polsce" zlokalizowane było/jest we Wrocławiu. Wymienię Muzeum Architektury (data założenia 1965 rok), gdzie poza wystawami odbywały się parateatralne eventy (spektakle Cricot 2 Tadeusza Kantora, Teatru Ósmego Dnia, Teatru Gardzienice czy Sceny Plastycznej KUL). I z innej sfery – koncerty Wratislavia Cantas, kolejnej wizytówki nadodrzańskiego miasta. Było jeszcze coś, o czym trochę zapomniano: pierwszy w Polsce konkurs dedykowany rysunkowi – najpierw w skali ogólnopolskiej (1965), od 1974 roku przekształcony w Międzynarodowe Triennale Rysunku. Ostatnia edycja odbyła się w 1995 roku, ale co tam się działo, co się działo! To znów była wylęgarnia sztuki konceptualnej, niepokornej, nietradycyjnej. A lista uczestniczących w niej gwiazd byłaby dziś przedmiotem zazdrości najbardziej prestiżowych muzeów świata – Christo, Herman Nitsch, Marlene Dumas, A.R. Penck, Valie Export, Nancy Spero... i wielu innych. Pamiętam przełomową, trzecią edycję triennale – kilka dni przed ogłoszeniem stanu wojennego, od 30 listopada 1981 roku. Czy wyczuwało się zagrożenie? W oparach konceptualizmu – niekoniecznie.

Zrób to sam

Jak wiadomo, za PRL-u plakat urósł do pozycji naszej narodowej specjalności. Ten gatunek miał lokalne odnogi – także we Wrocławiu (trzon stanowiła „czwórka wrocławska": Jan Jaromir Aleksiun, Jerzy Czerniawski, Jan Sawka, Eugeniusz Get-Stankiewicz). Co zadziwiające, w przeciwieństwie do konceptualnych trendów w nadodrzańskim afiszu dominowała stylistyka poetycko-surrealistyczna. Był wyjątek: Get-Stankiewicz, urodzony w 1942 roku w Oszmianie na Wileńszczyźnie. Człowiek instytucja. Sceptyk, filozof, fenomen manualizmu (rysunek, miedzioryt, odręczne pisanie), gigantyczne poczucie humoru i autoironii. Związany z ruchem Solidarności, laureat nagrody Komitetu Kultury Niezależnej „Solidarność" za lata 1981-1982. Jego bodaj najsłynniejszym, a z pewnością najbardziej nośnym dziełem jest malutka kompozycja, ledwie 93 cm wysokości i 65 szerokości. Tytuł „Zrób to sam" z 1976 roku nawiązywał do popularnych zestawów „brikolażowych" dla młodzieży – z tym że w tym przypadku majsterkowiczem miał/mógł być każdy. W pudełko-zestawie Get umieścił krzyż, figurkę Chrystusa, młotek i gwoździe. Plus tytuł-instrukcję. Mało jest prac równie wymownych, a syntetycznych w formie. Oraz tak ponadczasowych.

> WARTO PRZYWOŁAĆ WCZEŚNIEJSZY WROCŁAWSKI FENOMEN, TAKŻE TRUDNY DO UJĘCIA W JEDNOGATUNKOWE RAMY. INSTYTUT BADANIA METODY AKTORSKIEJ, CZYLI TEATR LABORATORIUM JERZEGO GROTOWSKIEGO. ZJAWISKO, KTÓRE PODBIŁO ŚWIAT.

Żaden luksus, tylko papier toaletowy

W stanie wojennym – o paradoksie! – kwitła sztuka niezależna. Wrocław miał swoich protagonistów, wywodzących się z kilku źródeł: konceptualizmu, plakatowego skrótu, buntowniczego undergroundu i... teatru.

Pod koniec 1982 roku ukazał się pierwszy numer ręcznie wykonanego studenckiego fanzina „Luxus" w nakładzie trzech egzemplarzy. Formalnie tak zatytułowana grupa artystyczna zaistniała dopiero od 1983 roku (funkcjonowała do 1995 roku), a i to pewności nie ma, bo członkowie nie postrzegali siebie jako artystycznej formacji, lecz jako zespół uprawiający „działalność towarzyską", wdającą się w dyskusje i organizującą wystawy. A także wydającą magazyn „Luxus". I tu znów pojawiają się interdyscyplinarne konotacje: związki z grupami muzycznymi jak Klaus Mitffoch, Kormorany, Miki Mousoleum. Co do ogólnego klimatu „Luxus" miał wiele wspólnego z Pomarańczową Alternatywą (i działalnością „Majora" Waldemara Fydrycha): zgrywuśny, wymuszony uśmiech klauna połączony z grymasem rozpaczy. I determinacją: dobra, idziemy na rympał, rzeczywistość jest zbyt surrealistyczna, żeby się nią przejmować. Z rozlicznych akcji Pomarańczowej Alternatywy zapamiętałam „Papier toaletowy" (1987), podczas której ten powszechnie pożądany towar wydzielany był każdemu po identycznym kawałku. Pod hasłem „Niech sprawiedliwość zacznie się od papieru". Jestem za.

eprasa.pl 09e62a2192

Gdańsk realizuje niemiecką politykę historyczną

– Brakuje nam długofalowej strategii. Niemcy prowadzą swoją konsekwentnie, niezależnie od rządu. My? Przez chwilę była propolska, gdy rządziło PiS. A teraz znowu: „Nie wracajmy do przeszłości, wszyscy coś tam mieliśmy na sumieniu”– mówi **Natalia Nitek-Płażyńska**, prezes Fundacji Łączy nas Polska, o polityce historycznej Niemiec realizowanej przy udziale władz Gdańska w rozmowie z **Konradem Wernickim**.

Fot. Kateryna Ishchenko

eprasa.pl 09e62a2192

– Co się w tym naszym Gdańsku dzieje? Ostatnio mieliśmy wystawę „Nasi chłopcy" – to wszystkich zbulwersowało. No, może nie wszystkich, ale część prawicową w Gdańsku na pewno. Takich sytuacji w ostatnich latach było sporo. Mi od razu przypomina się ta impreza ku czci Stauffenberga.

– Z Gdańskiem jest problem. Ja tak ostatnio to skonstatowałam – może ładnie, może nieładnie, ale myślę, że celnie – co lato, co wakacje w Gdańsku wylewa się takie nazistowskie szambo. Niestety. Nawet pomijając ten rok – do którego zaraz dojdziemy – popatrzmy na poprzedni. Claus von Stauffenberg – polakożerca, nazista, Niemiec, który w Niemczech jest traktowany jako bohater. W Polsce próbuje się nam to przedstawiać również poprzez wydarzenia takie jak ubiegłoroczna impreza w ratuszu w Gdańsku organizowana przez niemiecki konsulat. Było tam wiele osób z lokalnych elit, zwłaszcza ze środowisk liberalnych związanych z Platformą Obywatelską.

Fetowano Stauffenberga jako bohatera, który chciał zabić Hitlera. Ale nie mówi się, że chciał go zabić, bo uważał, że Hitler zbyt nieudolnie prowadził machinę zagłady – że należało robić to szybciej, skuteczniej, bardziej przemysłowo.

– Bo Stauffenberg chciał ratować III Rzeszę przed upadkiem.

– Dokładnie. Widział, że Hitler coraz gorzej sobie radzi, więc trzeba go zlikwidować, wejść w jego buty i kontynuować jego zamierzenia – tylko skuteczniej. Nie udało mu się, ale Niemcy – jako naród moralnie skompromitowany, bez wyrazistych bohaterów – próbują z takich ludzi robić autorytety. A problem w tym, że Polacy im w tym pomagają.

– To pokazuje, że w Niemczech nie było realnego ruchu oporu, skoro trzeba robić bohatera z regularnego nazisty...

– Tak. Jakiś czas temu przeglądałam niemieckie podręczniki do szkół ponadgimnazjalnych. Teoretycznie powinny dogłębnie przedstawiać historię. A tymczasem pomijają krzywdy wyrządzone Polakom. Jeśli już mówią o ruchu oporu, to tylko o Białej Róży – jako wielkim zrywie Niemców przeciwko „mitycznym nazistom". To całkowicie wyolbrzymione.

Niemcy próbują dziś uchodzić za moralne mocarstwo. Przekręcają fakty, żeby pokazać, że oni też cierpieli i pomagali. Stauffenberg to przykład – a na imprezie w Gdańsku był tłum Polaków, urzędników, samorządowców. Nikomu to nie przeszkadzało.

Złożyliśmy zawiadomienie do prokuratury – razem z radnymi Andrzejem Skibą i Przemysławem Majewskim – ale prokuratura stwierdziła, że nie dopatrzyła się propagowania nazizmu. Kolejny skandal.

– Tłumaczyli, że Stauffenberg „był człowiekiem swoich czasów". Tak próbowano go usprawiedliwić.

– To im zawsze dobrze wychodzi. Tylko dlaczego Polacy mają w to wchodzić? Dwa lata temu na Jarmarku Dominikańskim zespół z Niemiec wykonywał piosenkę „Ein Heller und ein Batzen", którą Niemcy śpiewali, idąc mordować Polaków. I nikt nie zareagował. Gdyby nie czujny dziennikarz z „Gdańsk Strefa Prestiżu", nikt by się o tym nie dowiedział.

A teraz mamy wystawę „Nasi chłopcy" – niektórzy mówią: „Nazi chłopcy". Słyszałam, że pierwotnie miała się tak nazywać. I znowu – Gdańsk realizuje niemiecką politykę historyczną w sposób wręcz prostacki.

– Wygląda to tak, jakby Gdańsk był wykorzystywany przez Niemcy do prowadzenia polityki historycznej albo sam gra w tę grę.

– Jedno i drugie. Są tacy, którzy wiedzą, w co grają, i robią to za pieniądze. Ale są też pożyteczni idioci. Niemcy prowadzą tę politykę od dekad – poprzez przemówienia, organizacje pozarządowe, działania na wielu poziomach. I widzimy tego efekty – wystawy, imprezy, akcje społeczne.

Byłam na tej wystawie. Przyszedł też rzecznik prasowy Muzeum Gdańska Andrzej Gierszewski. Powiedział, że lepszy byłby tytuł „Przemieleni przez wermacht". Myślę, że gdyby ta wystawa nazywała się w ten sposób, to kontrowersji byłoby mniej. Ale gdy zaczęłam mówić o przekłamaniach, to reagował skrzywionym uśmieszkiem. Przechwalał się, że bywa na niemieckich salonach, że go zapraszają. A ja mogę to tylko oglądać przez internet i chodzić do prokuratury.

NIEMCY PRÓBUJĄ DZIŚ UCHODZIĆ ZA MORALNE MOCARSTWO. PRZEKRĘCAJĄ FAKTY, ŻEBY POKAZAĆ, ŻE ONI TEŻ CIERPIELI I POMAGALI.

eprasa.pl 09e62a2192

To pokazuje problem. Mówię o godności Polaka, a on o tym, że został „dopuszczony do stołu". Okruszek mu spadł z niemieckiego stołu i już się czuje wyróżniony.

– Czyli część elit widzi w tym sposób na awans?

– Zdecydowanie. Bez tego proniemieckiego sformatowania trudno o awans w Gdańsku. Niemieckie wpływy są tam bardzo silne – imprezy, wydarzenia, wystawy – to codzienność.

– Polska jest dla tych osób przaśna, a niemieckość – bardziej europejska?

– Tak. Związki z Wolnym Miastem Gdańskiem czy niemieckie nazwy brzmią dla nich dumnie. A wystawa sugeruje, że służba w wermachcie to była przygoda. Nie ma tam słowa o niemieckim terrorze, o polskim cierpieniu. To uważają za „paździerz", coś śmiesznego.

– Uroczystości rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte również są zawsze okazją do relatywizacji: „Na początku było złe słowo", „nienawiść, nietolerancja". Zamiast powiedzieć wprost – wojna była efektem niemieckiej żądzy podboju; polityka imperialistyczna, a nie żadna nienawiść.

– I do tego „Imagine there's no hate" – hasło Magdaleny Adamowicz. Tym się przykrywa prawdę. Weźmy taki tramwaj, któremu nadano imię Hansa Förstera. On jest też proklamowany u nas jako bohater kociewski, podróżnik, taki wspaniały Niemiec, który pisał o Polsce i ją pokazywał. Tylko w ogóle się nie mówi o tym, że to on rozpowszechnił określenie „polnische Wirtschaft", że to on pisał o Polakach jako o świniach, o narodzie, który powinien służyć.

W NIEMIECKICH SZKOŁACH JUŻ OD DZIESIĘCIOLECI UCZY SIĘ TEGO, ŻE NIEMCY BYLI ZAATAKOWANI PRZEZ NAZISTÓW, ŻE NIEMCY POMAGALI INNYM.

Günter Grass też jest nam na każdym kroku w Gdańsku przedstawiany jako jakiś bohater. A był członkiem Waffen-SS.

– Mamy w Gdańsku tylu bohaterów z czasów Solidarności, II wojny światowej. Czemu sięga się po tamtych?

– Bo Niemcy w to inwestują, i to działa, a symbole wchodzą do przestrzeni publicznej. My słyszymy: „Nie rozdrapujmy ran", „Patrzmy w przyszłość".

– Jak zatem powinniśmy prowadzić własną politykę historyczną?

– Brakuje nam długofalowej strategii. Niemcy prowadzą swoją konsekwentnie, niezależnie od rządu. My? Przez chwilę była propolska, gdy rządziło PiS. A teraz znowu: „Nie wracajmy do przeszłości, wszyscy coś tam mieliśmy na sumieniu".

W niemieckich szkołach już od dziesięcioleci uczy się tego, że Niemcy byli zaatakowani przez nazistów, że Niemcy pomagali innym. Dzisiaj 70% Niemców sądzi, że ich przodkowie nie byli wśród sprawców, a prawie 37% Niemców jest przekonanych, że ich przodkowie byli ofiarami nazistów. Tego uczą się dzieci w niemieckich szkołach, a u nas?

Dlatego my musimy mówić prawdę. Mamy Witolda Pileckiego, ojca Maksymiliana Marię Kolbego, powstańców – bohaterów, o których pamięć trzeba przywracać, a którzy teraz niestety są wymazywani z Muzeum II Wojny Światowej. Polecam wszystkim książki profesora Andrzeja Nowaka, Feliksa Konecznego – dla dzieci i dorosłych. To są dzieła, które naprawdę mogą łączyć pokolenia. Nasza piękna, fascynująca historia jest czymś, z czego naprawdę możemy być dumni. My jesteśmy narodem bohaterskim i dlatego cały czas zakazuje się nam o tym mówić i pamiętać.

Jeśli będziemy bezrefleksyjnie „kodować" kolejne pokolenia – bez rozmowy, bez kontekstu – na to, że Polacy też byli sprawcami, a Niemcy ofiarami, to stworzymy bardzo niebezpieczny grunt na przyszłość. W efekcie agresywnej polityki historycznej Niemiec przeinaczającej naszą historię może się okazać, że nasze dzieci albo wnuki będą musiały płacić reparacje Żydom i Niemcom. I to nie dlatego, że jesteśmy winni, ale dlatego, że nie zadbaliśmy o własną narrację.

GDAŃSK REALIZUJE NIEMIECKĄ POLITYKĘ HISTORYCZNĄ W SPOSÓB WRĘCZ PROSTACKI.

eprasa.pl 09e62a2192

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Okazja czyni symetrystę

Jan Wróbel

Zauważyli Państwo, że mamy w polskim życiu politycznym tzw. okazje. Wtedy jakiś polityk, co do zasady z górnej półki, przekonuje nas o wadze współpracy i, oczywiście, konieczności działania ponad podziałami. Ostatnio zrobił tak Karol Nawrocki, ale znaleźlibyśmy podobne deklaracje w dorobku Donalda Tuska, Jarosława Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy, Rafała Trzaskowskiego... Uporczywe podnoszenie postulatu współpracy jako czegoś dobrego, a jednocześnie jawne budowanie polityki na gromkim przekonywaniu o nieprzemijalności konfliktu „Polski" z „agentami" co nieco zaciekawia.

Do kogo bowiem zwrócona jest ta narracja, że w polityce ważniejszy jest kraj niż partyjne, koteryjne albo osobiste wygrane?

1. Do wyborców regularnie głosujących na kandydatów wystawionych przez Tuska? Sądząc z licznych wypowiedzi oraz decyzji lidera obecnego układu rządowego, stawką jego działań jest uratowanie Polski, a metodą zniszczenie PiS.
2. Czy może do głosujących na kandydatów wskazanych przez Kaczyńskiego? Prezes PiS wręcz chlubi się tym, że z obozem Tuska współpracy nie będzie, cytuję, „żadnej".
3. A może mówi do tych niegłosujących ani na pisowców, ani na tuskowców? Wtedy trzeba by jednak założyć, że ci wyborcy życzą sobie zgodnej współpracy tych i tamtych, a nie, że życzą sobie, aby i tych, i tamtych szlag trafił... Liczba głosów oddana w wyborach prezydenckich na Sławomira Mentzena, Adriana Zandberga i Grzegorza Brauna coś nam w tej sprawie pokazuje (podobnie jak skromny wynik Szymona Hołowni).

Wygląda na to, że prezydent Nawrocki, podobnie jak inni wielcy polskiej polityki, opowiadając o potrzebie solidarnej pracy dla ukochanej ojczyzny, mówił do symetrystów. Aaa!

PREZYDENT, WSPOMINAJĄC O WSPÓŁPRACY, MÓWIŁ TYLKO DO SYMETRYSTÓW.

Nie po raz pierwszy zastrzegę się, że symetryzm, jak każde natręctwo, trąci zaburzeniem mentalnym. Aptekarskie oko nastawione, by skoro znalazłem szpetny błąd jednej strony, szukać błędu podobnej wagi u drugiej strony, nie stanowi o obiektywizmie szukającego, lecz o nerwicy. Inna jest sprawa, kiedy np. podsumowując polkę galopkę PO w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, dostrzegam, że galopka polka PiS na tym samym podeście równie urąga zasadom zachodniej cywilizacji i zdrowemu rozsądkowi. Tyle że to nie symetryzm, lecz uczciwość prowadzi do tego (i nie jednego podobnego) wniosku.

No tak, ale symetryzmu (lepiej powiedzieć: tak zwanego symetryzmu, d. uczciwości, ale to się długo mówi, niczym „Zakłady 22 lipca d. Wedla") nie znoszą i w PiS, i w PO, zauważy ktoś przytomnie. No, na co dzień nie znoszą, ale przy tak zwanej okazji dają znać o sobie tęsknoty za Polską rządzoną bez kuku na muniu. Tęsknoty jawnie wyrażanej przez „symetrystów", a po cichu żywionej przez miliony ludzi.

eprasa.pl 09e62a2192

TRZYMAM z Solidarnością

Relacja między prezydentem Andrzejem Dudą a NSZZ „Solidarność” ma charakter wyjątkowy w najnowszej historii Polski. Jej fundamentem było **zaufanie**, jakie Związek okazał kandydatowi na prezydenta w 2015 roku.

Barbara Michałowska

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 09e62a2192

Solidarność jako jedna z pierwszych sił społecznych uwierzyła w potencjał Andrzeja Dudy, stawiając na kandydata, który deklarował gotowość do walki o prawa pracownicze, przywrócenie godności ludziom pracy oraz odbudowę znaczenia dialogu społecznego w życiu publicznym. W maju 2015 roku doszło do historycznego momentu: podpisania umowy programowej pomiędzy Piotrem Dudą, przewodniczącym Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", a Andrzejem Dudą. Dokument ten stał się polityczną i moralną deklaracją woli współpracy w kluczowych dla świata pracy obszarach.

Symboliczny postulat

Już pierwsze miesiące prezydentury Andrzeja Dudy pokazały, że deklaracje nie były jedynie wyborczymi obietnicami. Jednym z głównych punktów zawartej umowy była kwestia przywrócenia wieku emerytalnego – 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn – który został wcześniej podniesiony przez rząd PO – PSL. Związkowcy uznali ten postulat za kluczowy i symboliczny. Dzięki staraniom Andrzeja Dudy i jego determinacji, a także stałemu wsparciu Solidarności, reforma została cofnięta, a poprzedni wiek emerytalny przywrócono 1 października 2017 roku. Był to jeden z najważniejszych sukcesów prezydenckiej kadencji, który ugruntował zaufanie Związku do głowy państwa i wyznaczył kierunek dalszej współpracy.

Osobiste zaangażowanie w sprawy pracownicze

Kolejne lata relacji między prezydentem a Solidarnością obfitowały we wspólne inicjatywy, wystąpienia, spotkania i działania legislacyjne. Andrzej Duda wielokrotnie brał udział w uroczystościach organizowanych przez Związek, a jego obecność na kolejnych zjazdach Solidarności stawała się czymś więcej niż tylko gestem – była potwierdzeniem osobistego zaangażowania w sprawy pracownicze i szacunku dla dziedzictwa NSZZ „Solidarność". W swoich przemówieniach prezydent podkreślał historyczną rolę Związku w walce o wolność, godność i prawa obywatelskie. Solidarność – jak wielokrotnie powtarzał – jest nie tylko symbolem sprzeciwu wobec komunistycznej opresji, ale także trwałym fundamentem suwerennej Polski. Odwołując się do tego dziedzictwa, Andrzej Duda wielokrotnie akcentował potrzebę kontynuacji misji Solidarności w nowoczesnym kontekście społecznym i gospodarczym.

Wspólnym dziełem prezydenta i Związku było również utworzenie Rady Dialogu Społecznego, która w 2015 roku zastąpiła nieskuteczną Komisję Trójstronną. Rada miała być nową platformą rozmowy między stroną rządową, pracodawcami i związkami zawodowymi – miejscem, gdzie głos pracowników byłby realnie słyszany i uwzględniany w procesie stanowienia prawa. To kolejny przykład, w którym zapowiedzi zostały przekute w konkretne decyzje, z korzyścią dla życia społecznego i zawodowego milionów Polaków.

Podczas Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" w Zakopanem w 2022 roku Andrzej Duda mówił: – Wierzę, że Solidarność będzie trwała zawsze. Wierzę w to, że Solidarność będzie umacniała naszą Polskę nie tylko przez dziesięciolecia, ale przez stulecia.

To przesłanie unaocznia, że dla Andrzeja Dudy relacja z Solidarnością nie była jedynie politycznym sojuszem, lecz formą misji rozumianej jako służba dla dobra wspólnego.

Trudno dziś mówić o prezydenturze Andrzeja Dudy bez odniesienia do tej relacji. To ona była jednym z filarów jego polityki społecznej, a także elementem konstytuującym jego wiarygodność w oczach tysięcy pracowników, którzy widzieli w nim sojusznika i rzecznika ich spraw. Z kolei Solidarność zyskała w prezydencie nie tylko sprzymierzeńca, ale też partnera, który potrafił słuchać i działać. Także wówczas, gdy sytuacja polityczna w Polsce zmieniła się, a władzę przejęła koalicja, która na scenie politycznej stoi w innym miejscu niż prezydent Duda. To podczas KZD NSZZ „S" w Spale w 2023 roku padły deklaracje dotyczące pilnowania Polski. Członkowie NSZZ „Solidarność" i prezydent te słowa rozumieli podobnie, co pokazała współpraca w czasie dwóch ostatnich lat prezydentury Andrzeja Dudy.

Dziesięć lat współpracy stanowi ważny rozdział we współczesnych dziejach Polski. Jest to historia o tym, jak polityka może służyć ludziom, gdy oparta jest na wartościach i wzajemnym szacunku.

DLA ANDRZEJA DUDY RELACJA Z SOLIDARNOŚCIĄ NIE BYŁA JEDYNIE POLITYCZNYM SOJUSZEM, LECZ FORMĄ MISJI ROZUMIANEJ JAKO SŁUŻBA DLA DOBRA WSPÓLNEGO.

eprasa.pl 09e62a2192

Platforma zapiekłych radykałów

Ugrupowanie Donalda Tuska przeszło niespotykaną we współczesnym świecie transformację – z pozycji umiarkowanie liberalnych do **skrajnie antydemokratycznych**. Pozbawione jakiegokolwiek rysu ideologicznego zmieniło się w partię protestu przeciw PiS i Karolowi Nawrockiemu.

Mariusz Staniszewski

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

W świecie zachodnim ewolucja zwykle przebiega w odwrotnym kierunku. Partie protestu – przeciw establishmentowi, polityce socjalnej, korupcji, nierówności szans, polityce rolnej itp. – dochodzą do władzy z radykalnymi hasłami, by później, po zderzeniu z realiami rządzenia, tonować własne żądania. Na polskiej scenie politycznej najlepszym przykładem takiej formacji była Samoobrona. Chciała rozgonić na cztery wiatry cały układ polityczny i ustanowić sprawiedliwszy porządek. Gdy jednak Andrzej Lepper i jego współpracownicy rozsiedli się w wygodnych fotelach, przejechali się luksusowymi limuzynami, zjedli wystawne koalicje w drogich restauracjach, ich wrażliwość społeczna się stępiła.

Zasmakowali we władzy oraz poczuciu siły. Rozumieli, że system podejmowania decyzji jest skomplikowany i obwarowany wieloma ograniczeniami – prawnymi, budżetowymi, międzynarodowymi. Rozkosz władzy jest jednak ogromna i upajająca. Dla wielu zniewalająca jak narkotyk. Politycy Samoobrony się w niej nieco zatracili, a gdy polityczne trzęsienie ziemi wybudziło ich z błogiego snu, okazali się bezradni jak dzieci, którym zabrano zabawki. Nie umieli już się pozbierać. Nawet gdyby chcieli stanąć na czele zrewoltowanych tłumów, byliby niewiarygodni.

Niebezpieczna transformacja

Politycy Platformy Obywatelskiej smak władzy znają doskonale. Są crème de la crème polskiego establishmentu. Uważają się za partię inteligencką i rzeczywiście znaczny procent osób z wyższym wykształceniem w każdych wyborach oddaje na nich głos. Rozumieją mechanikę rządzenia. Wiedzą, na czym polega trójpodział władz oraz jak wygląda proces legislacyjny. Umieją rozmawiać z różnymi grupami interesów, równoważyć ich wpływy oraz zawierać kompromisy.

Powinni więc rozumieć, że wola przywódcy nie jest wystarczająca, by rządzić państwem prawa. Jednak przechodzą transformację z partii przewidywalnej w fundamentalnie antysystemową. Stają się establishmentową Samoobroną, której celem nie jest rządzenie państwem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Władza ma im służyć jedynie do jednego – zniszczenia Jarosława Kaczyńskiego i jego formacji.

Andrzej Lepper jak mantrę powtarzał: „Balcerowicz musi odejść”, Donald Tusk w kółko plecie: „Wszyscy będziecie siedzieć”. Przed laty słowa lidera Samoobrony były uznane za objaw chamstwa, dziś Tusk i jego uśmiechnięta drużyna tak daleko przesunęli granice dobrego smaku,

eprasa.pl 09e62a2192

że nie wstydzą się krzyczeć: „Wypier****j!” albo „Jeb*ć PiS!”.

Nawet przegrane wybory prezydenckie nie spowodowały otrzeźwienia. Z klęski został wyciągnięty jeden wniosek: za mało było rozliczeń. Innymi słowy, gdyby za kratki, choćby na chwilę, trafiło większe grono polityków Prawa i Sprawiedliwości, to Rafał Trzaskowski zostałby prezydentem. Albo jeszcze inaczej – Nawrocki wygrał, ponieważ Adam Bodnar, Tomasz Siemoniak i reszta miękiszonów okazali politykom PiS zbyt wiele litości.

Zaślepienie zawsze odbiera rozum. Gdyby ekipa Tuska chciała go na powrót uruchomić, zorientowałaby się, że tego rodzaju działania przynoszą efekt odwrotny. W państwie nawet na poły demokratycznym punktem brzegowym jest używanie przemocy. Jeśli władza nie może go stosować według własnego uznania, bez prawnych ograniczeń, represje odnoszą odwrotny skutek. Powodują bunt. To on właśnie zmiótł ze sceny politycznej ekipę Demokratów w Stanach Zjednoczonych oraz wywołuje narastającą falę sprzeciwu w krajach Unii Europejskiej.

Jedynym wyjściem z tego klinczu byłby pozytywny program rządzenia, a więc żmudne zajmowanie się ustawami, budżetem, inwestycjami, ochroną zdrowia. PO nie może jednak pójść w tym kierunku z dwóch powodów. Po pierwsze, Tusk bardzo tego nie lubi, ponieważ tę część sprawowania władzy uważa za nudną. Po drugie, po półtora roku naparzanki główna partia rządzącej koalicji straciła zdolność do pracy. Zbyt wiele barier zostało przekroczonych.

Pozostaje więc dalsze przeobrażanie się w partię antysystemową.

Zagrożenie wewnętrzne

Aby utrzymać napięcie i mobilizację we własnych szeregach – o co zresztą coraz trudniej – premier uznał, że głównym zagrożeniem dla Polski jest dziś wróg wewnętrzny. Nie imperialna, dokonująca aktów sabotażu Rosja, dryfująca w odmętach klimatycznego szaleństwa Unia Europejska, rosnące w siłę Chiny, destabilizujący państwo i odbierający Polakom bezpieczeństwo imigranci czy pogrążające się w kryzysie politycznym oraz gospodarczym Niemcy, ale Jarosław Kaczyński, Karol Nawrocki, Mateusz Morawiecki, Mariusz Błaszczak, Przemysław Czarnek czy Sławomir Cenckiewicz. To nimi mają zajmować się służby specjalne i skarbowe oraz zastępy prokuratorów.

Już na pierwszy rzut oka widać w tym objawy politycznej paranoi. Walka z wrogiem wewnętrznym jest charakterystyczna dla systemów totalitarnych. Specjalne formacje do zwalczania takich sił powstały w sowieckiej Rosji i nazistowskich Niemczech. W obu tych systemach władza wymagała od tych służb szczególnego okrucieństwa wobec nieprzyjaciela, który ukrywał się wśród swoich. Uważały go za bardziej niebezpiecznego, ponieważ trudniejszego do zidentyfikowania.

Pokonanie wewnętrznego wroga było zresztą głównym motywem i motorem napędowym rekonstrukcji rządu. Skoro Adam Bodnar i Tomasz Siemoniak nie dali rady, to trzeba znaleźć bardziej zdeterminowanych i pozbawionych skrupułów następców, by ręka nie zadrżała.

Tyle tylko że tego rodzaju marzenia to raczej mokry sen

eprasa.pl 09e62a2192

kieszonkowego dyktatora. Mimo wszystko nie żyjemy w latach trzydziestych zeszłego wieku i choć ekipa Donalda Tuska podeptała konstytucję i ład prawny, ciągle nie może ona rozgonić sądów, zamykać bez wyroków, wyrywać paznokci czy sadzać przesłuchiwanych na odwróconych stołkach. Nawet jeśli w pierwszych miesiącach rządzenia podległe jej służby dopuściły się tortur wobec ks. Michała Olszewskiego, urzędniczek z Ministerstwa Sprawiedliwości, byłej szefowej biura premiera Mateusza Morawieckiego Anny Wójcik czy wymusiły zeznania na Jacku Szopie, to nie wywołały efektu mrożącego.

Nawet przyjaźni im sędziowie uznali, że Polska to nie Białoruś i należy przestrzegać choćby minimalnych standardów. Wypuścili więc aresztowanych na wolność i wyrzucili do kosza napisane pod dyktando prokuratora zeznania. Waldemar Żurek w pierwszych dniach rządzenia zawiesił czterdziestu sześciu prezesów i wiceprezesów sądów, czym zyskał uznanie Donalda Tuska i jego nadwornego hejtera Romana Giertycha. Zamiast nastraszyć danych kolegów po fachu, wywołał bunt. W Gdańsku na kolegium sędziów minister Żurek przegrał głosowanie 1:10. W kolejnych miastach będzie podobnie. Aby pokazać moc sprawczą, Waldemar Żurek z Marcinem Kierwińskim musieliby sędziów wygonić siłą, ale jeszcze nie mają swoich bojówek, które mogłyby to wykonać.

Wychodzi więc na to, że z wrogiem wewnętrznym nie da się wygrać. Szczególnie że czai się wszędzie. Nawet w przyjaznych sądach.

Zakładnicy sekty

Gdy rzeczywistość okazuje się nie do okiełznania dostępnymi metodami, pozostają dwa wyjścia: zmienić metody lub rzeczywistość. Opór w pozornie opanowanych instytucjach – jak choćby w prokuraturze – oraz ograniczenia prawne i międzynarodowe powodują, że obecna władza nie ma dość siły sprawczej, by przejąć pełną kontrolę nad procesami politycznymi w kraju.

Z KLĘSKI PLATFORMY ZOSTAŁ WYCIĄGNIĘTY JEDEN WNIOSEK: ZA MAŁO BYŁO ROZLICZEŃ.

Niepokorni sędziowie, wolne media – tradycyjne i społecznościowe – organizacje społeczne czy wreszcie opozycja okazali się zbyt silni. Polski gen wolności znów dał o sobie znać i wziął górę nad totalitarnymi ciągotkami PO.

Dlatego trzeba było zmienić rzeczywistość. Okazuje się to znacznie łatwiejsze od pokonania realnego przeciwnika. Tuskowi i jego ekipie udało się przekonać znaczną część społeczeństwa – od dwudziestu pięciu do trzydziestu procent – że wybory zostały sfałszowane, a PiS z Nawrockim ukradli Platformie zwycięstwo. Ogromny wkład mieli w tym poseł Dariusz Matecki z podstępną aplikacją, ojciec Tadeusz Rydzyk i osławieni patostreamerzy „Bracia Kamraci". Co więcej, miało to być elementem większego światowego spisku, co udowadniał kapłan paranoi Roman Giertych. Według niego w zmowie z prawicą był TikTok, ponieważ stworzył algorytmy promujące treści konserwatywne.

POLSKI GEN WOLNOŚCI ZNÓW DAŁ O SOBIE ZNAĆ I WZIĄŁ GÓRĘ NAD TOTALITARNYMI CIĄGOTKAMI PLATFORMY.

W tej rzeczywistości Tusk broni praworządności, rozpoczął uszczelnianie wschodniej granicy, wprowadził w Polsce 800 plus, zainicjował proces modernizacji armii, rusza z budową elektrowni atomowych i zawsze był przeciwny napływowi imigrantów.

Tworzenie alternatywnego świata ma jednak zasadniczą wadę. Wymaga stałego dostarczania szaleńczych treści. Wytworzona i ukształtowana w dużej mierze przez Giertycha sekta musi być karmiona codziennie odpowiednią dawką nienawiści oraz spiskowych teorii. Na razie Tuskowi jeszcze wystarcza wyobraźni. Tuż przed zaprzysiężeniem Karola Nawrockiego nagrał oświadczenie, w którym biadolił o tym, jak wielkim niebezpieczeństwem jest nowy prezydent, i zagrzewał do zwarcia szeregów. Kilkadziesiąt minut później przekonywał, że najsmutniejszym człowiekiem w Polsce był Jarosław Kaczyński, ponieważ nie udało mu się utrzymać wpływu na nową głowę państwa.

To jednak wystarczy tylko na chwilę. Prawdziwa eksplozja szaleństwa nastąpi pewnie w najbliższych dniach.

eprasa.pl 09e62a2192

KARUZELA Z BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM”)

KOMU PRZESZKADZA ZJAZD TYSIĄCLECIA?

Polskie Radio uniemożliwiło wynajem przestrzeni na organizację Zjazdu Tysiąclecia, czyli wydarzenia społeczno-kulturalnego, które w intencji organizatorów miałoby godnie uczcić Tysiąclecie Korony Królestwa Polskiego.

Fundacja Osuchowa oraz Instytut Wiedzy Społecznej im. Krzysztofa Karonia we współpracy z Orkiestrą Sinfonia Viva (Stowarzyszenie Symphonia), postanowiły wynająć od Polskiego Radia Studio Koncertowe im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie. Według zamierzeń organizatorów w niedzielę, 5 października, w tym miejscu miał odbyć się całodniowy Zjazd Tysiąclecia z centralnym, a zarazem finalnym elementem pod postacią koncertu muzyki klasycznej. W programie imprez towarzyszących zaplanowano m.in. dużą debatę o tematyce historycznej, kiermasz książek oraz oficjalny bankiet połączony z poczęstunkiem.

Historia tego przedsięwzięcia sięga początków roku, kiedy to wybitny dyrygent i kompozytor maestro Tomasz Radziwonowicz – po wielu miesiącach twórczej pracy – ukończył autorską kantatę pod tytułem „Rzecz o królu Bolesławie na tysiąclecie koronacji ułożona”. Niestety pomimo szczerych chęci i starań artysta długo nie mógł znaleźć wsparcia finansowego, przez co realizacja całego projektu stanęła pod wielkim znakiem zapytania. Ostatecznie jednak wiosną, tuż po wyborach prezydenckich, pomoc zaoferował mu europoseł Grzegorz Braun, który zauważył konieczność uświetnienia 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego.

Honorowy patronat, którego udzielił inicjatywie, w oczach lewicowo-liberalnego salonu okazał się istnym pocałunkiem śmierci. Pomimo zaawansowanych rozmów między organizatorami a Polskim Radiem, w tym opłacenia z góry faktury za wynajem przestrzeni, na początku sierpnia praktycznie z dnia na dzień wszelka współpraca została zerwana i to bez podania przyczyny. Dopiero z przekazu mediów można było dowiedzieć się, że zdaniem kierownictwa państwowej rozgłośni są osoby, które „nie powinny mieć w ogóle dostępu do mediów publicznych”. Akt politycznej cenzury w najczystszym wydaniu.

Nie skończyło się wyłącznie na artykułach obwieszających z nieukrywaną satysfakcją, że po interwencji dziennikarzy i aktywistów wydarzenie związane ze znienawidzonym politykiem zostało zablokowane. Okazało się bowiem, że presji poddano również artystów mających wystąpić w ramach Zjazdu Tysiąclecia. Zawoalowane groźby doprowadzenia do sytuacji, w której utracą oni wszelkie dotychczasowe umowy, kontrakty i współprace, niestety podziałały skutecznie, i nawet trudno się temu dziwić. W końcu mało kto jest mentalnie przygotowany na wizję publicznego linczu od TVN-u po „Gazetę Wyborczą”, prawda?

W tej sytuacji ponad milion obywateli głosujących w ostatnich wyborach na Grzegorza Brauna – abstrahując od poglądów tego kandydata – zostało symbolicznie wyjętych poza margines społeczeństwa. Nie oznacza to jednak w żadnym razie kapitulacji. Ogłoszony Zjazd Tysiąclecia odbędzie się jeszcze jesienią tego roku, tyle że w nieco odmienionej formule. W tej chwili organizatorzy pracują nad wyborem nowej daty i lokalizacji wydarzenia oraz prowadzą rozmowy z niezależnymi artystami, gotowymi stawić czoła spodziewanym szykanom. Swoje wsparcie zaoferował już m.in. wybitny tenor Bogusław Morka.

Ponad milion obywateli głosujących w ostatnich wyborach na Grzegorza Brauna – abstrahując od poglądów tego kandydata – zostało symbolicznie wyjętych **poza margines** społeczeństwa.

eprasa.pl 09e62a2192

Zdrowie na rozdrożu

Rekonstrukcja rządu przyniosła **zmianę na stanowisku ministra zdrowia**, na którym Izabelę Leszczynę zastąpiła dr Jolanta Sobierańska-Grenda. To zmiana nie tylko wizerunkowa – doświadczoną polityk z dobrym kontaktem z premierem, choć bez praktyki w systemie ochrony zdrowia, zastępuje menedżerka z dużym doświadczeniem w zarządzaniu szpitalami na Pomorzu. Tym samym dobiega końca eksperyment pod hasłem: „Weźmy na ministra zdrowia kogoś spoza środowiska medycznego, za to dobrze umocowanego politycznie".

Maria Libura

Lekarze, pielęgniarki, farmaceuci czy dyrektorzy szpitali – każda grupa ma własną perspektywę na system ochrony zdrowia, a wszystkie je trudno pogodzić. Oto więc przychodzi człowiek z zewnątrz i rozbija układy. Wiceprzewodnicząca Platformy Obywatelskiej wydawała się wręcz idealna do tego scenariusza, przez lata postulowanego przez ekspertów jako remedium na wewnętrzne konflikty interesów w sektorze.

W praktyce to posunięcie okazało się porażką. Widać to po podsumowaniach zdymisjonowanej ministry. Nawet te jej przychylne środowiska podkreślają punktowe dokonania, takie jak poprawa dostępu do znieczuleń okołoporodowych czy kompleksowe leczenie endometriozy. To, rzecz jasna, ważne

Jolanta Sobierańska-Grenda, nowa minister zdrowia

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

eprasa.pl 09e62a2192

dla konkretnych grup pacjentek zmiany, ale powiedzmy sobie szczerze – to sukcesy na miarę dyrektora departamentu, a nie ministra odpowiedzialnego za jeden z najważniejszych dla bezpieczeństwa obywateli i stabilności państwa sektorów. Szczególnie w sytuacji, gdy sektor ten znajduje się w bardzo poważnym kryzysie finansowym i organizacyjnym.

Przypomnijmy – Narodowy Fundusz Zdrowia pod rządami ministry Leszczyny wszedł w nowy rok z dziurą w budżecie, a do tego działał bez zatwierdzonego przez ministra finansów planu finansowego. Sam projekt planu nie brał pod uwagę części kosztów, w tym podwyżek minimalnych wynagrodzeń w ochronie zdrowia, choć te były całkowicie przewidywalne, bo gwarantowane ustawowo. Trudności z płynnością finansową NFZ odbiły się na placówkach medycznych, szczególnie szpitalach, które z opóźnieniem dostały pieniądze za wykonane świadczenia, nawet te teoretycznie nielimitowane. Na branżowych portalach wyroiły się porady dla małych praktyk stomatologicznych w związku z niepokojem, kiedy powstaje przychód z tytułu zrealizowanych nadwykonań, gdy NFZ płaci z kilkumiesięczną zwłoką? Jeśli ktoś zastanawia się, dlaczego dentyści nie chcą pracować na NFZ, to do niskich stawek może teraz doliczyć niepokój o zaległości podatkowe i naliczane odsetki od pieniędzy, których NFZ jeszcze nie zapłacił. Tu Krajowa Administracja Skarbowa uspokaja w odpowiedzi na wnioski o interpretacje, ale sam fakt, że prowadzący praktykę potrzebuje drugiego fakultetu z prawa podatkowego, by spać spokojnie, wiele mówi o systemie mało przyjaznym i lekarzom, i pacjentom. Cały system wymaga gruntownej reformy, ale nie da się jej zrobić bez pieniędzy.

Tymczasem wydatki na zdrowie na tle innych państw UE plasują Polskę na odwróconym podium – jesteśmy bowiem na trzecim miejscu od końca. Ministrze Leszczynie nie tylko nie udało się rozpocząć zapowiadanych reform, w szczególności reformy szpitali, ale nawet zablokować zmian bezpośrednio uderzających w stabilność finansową systemu publicznej ochrony zdrowia. Akcję obniżki składki zdrowotnej dla przedsiębiorców przeprowadzano w sytuacji, gdy szpitalom nie płacono za wspomniane nadwykonania świadczeń. Pierwsza obniżka, dotycząca najmniej zarabiających mikrofirm, przeszła jeszcze jesienią ubiegłego roku. Drugą, dotyczącą już nieźle zarabiających, przepchnięto przez parlament w czasie kampanii wyborczej w nadziei, że niechęć do utraty głosów powstrzyma opozycję przed zablokowaniem zmiany, która pogłębia niesprawiedliwe obciążenia osób zatrudnionych na umowy o pracę względem tych na jednoosobowej działalności gospodarczej. Ministra Leszczyna wbrew początkowym deklaracjom zagłosowała za tą zmianą zgodnie z linią własnej partii. Sprzeciw posłów PiS, Lewicy i koła Razem nie wystarczył, by powstrzymać zmiany, które na szczęście zawetował prezydent Andrzej Duda.

Dodajmy, że składka zdrowotna już w obecnej formie jest parapodatkiem regresywnym, czyli proporcjonalnie do dochodu najwięcej płacą z jej tytułu najmniej zarabiający. Dalsze obniżanie składki przedsiębiorcom oznaczałoby obniżenie jej... najbogatszym. Niewiele pomogłyby tu obiecywane dotacje do budżetu państwa, bo takie łatanie dziury nie zmienia fundamentalnej niesprawiedliwości rozwiązania, które nieproporcjonalnie rozkłada społeczne ciężary utrzymania krytycznej dla całego państwa infrastruktury.

Ministra Leszczyna okazała się więc przede wszystkim mało skuteczna, jaką miarą by tej skuteczności nie mierzyć. Zmiana na stanowisku nie wzbudziła więc w branży zdziwienia. Pierwsza część kadencji już jednak minęła i czas na poważniejszą reformę zdrowia w tym Sejmie raczej się skończył. Minister Sobierańska-Grenda, jej następczyni, uchodzi za profesjonalistkę w zarządzaniu, nie będzie jednak miała przestrzeni na radykalne zmiany. Jest jednak potrzebna rządowi, by przynajmniej zwodować spóźnioną reformę szpitali,

MINISTRA LESZCZYNA OKAZAŁA SIĘ PRZEDE WSZYSTKIM MAŁO SKUTECZNA, JAKĄ MIARĄ BY TEJ SKUTECZNOŚCI NIE MIERZYĆ. ZMIANA NA STANOWISKU NIE WZBUDZIŁA WIĘC W BRANŻY ZDZIWIENIA.

eprasa.pl 09e62a2192

ważną z perspektywy rozliczenia Krajowego Planu Odbudowy. Zdefiniowana jako tzw. kamień milowy warunkuje ona wypłatę środków z tego funduszu.

Czy chociaż ta reforma wyjdzie nam na zdrowie? Niestety, trudno powiedzieć. Jedną z przyczyn niepowodzeń Leszczyny w tej materii były odkrywane w kolejnych wersjach projektów ustawy o reformie szpitali swoiste „jajka wielkanocne" – wrzutki, które według analityków stanowiły potencjalne furtki do prywatyzacji i komercjalizacji szpitali publicznych. Pod ogólnie słusznym hasłem konsolidacji przemycane były rozwiązania, które umożliwiały niejasne przekształcenia własnościowe, a według niektórych – torowały szybką ścieżkę do upadłości placówek i ich ewentualnej wyprzedaży. Nowa minister otwarcie deklaruje, że prywatyzacji szpitali się nie boi, choć trudno ocenić, co dokładnie ma na myśli. Od 2017 roku pełniła funkcję prezeski Szpitali Pomorskich, czyli spółki zarządzającej czterema szpitalami, których właścicielem jest samorząd województwa pomorskiego, a więc szpitali publicznych. Jako prawniczka z pewnością rozumie wagę słów, jednak w wypowiedziach publicznych niemal wymiennie stosuje słowa „prywatyzacja" i „konsolidacja" szpitali. Tymczasem konsolidacja jest owszem, potrzebna, by szpitale działały efektywniej, a przede wszystkim ze sobą współpracowały. Prywatyzacja natomiast budzić musi ogromne wątpliwości. To również wieloznaczne słowo. Na przykład większość poradni lekarzy rodzinnych w naszym kraju jest niepubliczna. Jednak działają one w ramach systemu publicznego i realizują jego zadania. Czymś całkiem odmiennym jest prywatyzacja jako nastawienie na działalność dla zysku. Tu dowody z praktyki międzynarodowej coraz mocniej wskazują na szkodliwość takiego modelu w działalności leczniczej. W szczególności zasada maksymalizacji zysków dla udziałowców jest po prostu fundamentalnie sprzeczna z naczelnym celem systemu zdrowotnego: dążeniem do zdrowia pacjentów i całego społeczeństwa, o czym wielokrotnie pisaliśmy z dr. Michałem Zabdyrem-Jamrozem na łamach wielu mediów. Pogoń za pieniądzem w usługach zdrowotnych wywołuje bowiem zjawisko znane jako spijanie śmietanki – podmioty lecznicze wykonują wówczas przede wszystkim dobrze wycenione procedury, unikając tych mniej opłacalnych. Dotyczy to także selekcji pacjentów. Ci z wieloma chorobami, skomplikowani, stają się „kulą u nogi", balastem, który lepiej przerzucić do konkurencji. Oznacza to de facto obniżenie jakości opieki medycznej, a także pogłębianie się nierówności w zdrowiu. Potwierdzają to międzynarodowe badania, które wskazują, że szpitale publiczne i niekomercyjne (not for profit) działają równie efektywnie, co komercyjne, a według niektórych analiz – nawet lepiej. Na polskim gruncie w pracy badaczy z Uniwersytetu Jagiellońskiego udokumentowano pewną przewagę szpitali publicznych w formie SPZOZ nad tymi przekształconymi w spółki prawa handlowego – i to w zakresie wskaźników finansowych!

A jak z jakością opieki? Szwedzkie badanie dotyczące prywatyzacji usług ratownictwa medycznego w Sztokholmie wykazało, że prywatne zespoły karetek rzeczywiście były tańsze i szybsze, ale zarazem... osiągały one gorsze wyniki w obszarach nieuwzględnionych w systemie bodźców finansowych. Niestety, należała do nich szansa długoterminowego przeżycia pacjentów. Autorzy badania zidentyfikowali mechanizmy pozwalające firmom prywatnym na redukcję kosztów, które zarazem obniżały jakość świadczeń – m.in. poprzez oszczędności na kwalifikacjach personelu.

W kontekście szwedzkiego systemu, w którym priorytetem jest równy dostęp do opieki wysokiej jakości, takie praktyki budzą poważne wątpliwości i stają się przedmiotem publicznej debaty. Czas, byśmy podobnie zaczęli myśleć w Polsce. Zamiast sprytnych tricków, dzięki którym oszczędzimy 5 złotych na ochronie zdrowia, powinniśmy skupić się na żmudnej reformie, dzięki której Polacy będą żyć dłużej i w dobrym zdrowiu.

POGOŃ ZA PIENIĄDZEM W USŁUGACH ZDROWOTNYCH WYWOŁUJE ZJAWISKO ZNANE JAKO SPIJANIE ŚMIETANKI – PODMIOTY LECZNICZE WYKONUJĄ WÓWCZAS PRZEDE WSZYSTKIM DOBRZE WYCENIONE PROCEDURY, UNIKAJĄC TYCH MNIEJ OPŁACALNYCH.

eprasa.pl 09e62a2192

Koncert Justyny Steczkowskiej na Forum Ekonomicznym. Biznes i kultura w jednym miejscu

We wtorek, 2 września, w południe, w Hotelu Gołębiewski w Karpaczu rozpocznie się XXXIV Forum Ekonomiczne – jedno z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-politycznych Europy Środkowo--Wschodniej. Oprócz ponad 500 debat, sesji plenarnych i wydarzeń specjalnych uczestnicy Forum będą mogli wziąć udział w bogatym programie kulturalnym, którego kulminacją będzie koncert Justyny Steczkowskiej – jednej z największych gwiazd polskiej sceny muzycznej.

Fot. materiały prasowe

Koncert artystki zaplanowano na środę, 3 września, w wieczornym bloku wydarzeń w Hotelu Gołębiewski. W zaproszeniu Justyna Steczkowska mówi:

„W tym szczególnym miejscu spotykają się ludzie polityki, biznesu, nauki, a ja chciałabym od siebie dodać odrobinę sztuki. To będzie koncert pełen niezwykłych emocji, tańca, pięknych tancerzy, mocnego rytmu i dużo dobrej zabawy...”.

Podczas występu artystka zaprezentuje swoje największe przeboje. Przypomnijmy, że w tym roku reprezentowała Polskę na 69. Konkursie Piosenki Eurowizji w szwajcarskiej Bazylei, gdzie wystąpiła z utworem **„GAJA”**, zdobywając uznanie międzynarodowej publiczności i pochwały krytyków.

Justyna Steczkowska to nie tylko wokalistka, ale również skrzypaczka, kompozytorka, autorka tekstów, aktorka i fotograf. Na swoim koncie ma kilkanaście albumów, dziesiątki teledysków i niezliczoną liczbę koncertów. Laureatka m.in. sześciu Fryderyków, dwóch Wiktorów, Róży Gali i Bursztynowego Słowika, od lat zachwyca charyzmą, sceniczną osobowością i niepowtarzalnym stylem.

Forum Ekonomiczne łączy politykę, biznes i kulturę w jednej spójnej przestrzeni. Ważną częścią programu kulturalnego są spotkania autorskie, których w tym roku zaplanowano blisko 30. W ich trakcie zaprezentowane zostaną najciekawsze publikacje z zakresu ekonomii, polityki, geopolityki, nowych technologii, społeczeństwa, ale też literatury pięknej, reportażu oraz książki naukowe i popularnonaukowe.

Potwierdzony udział w spotkaniach zapowiedzieli już m.in.: **prof. Nicole Alexander** – była dyrektor globalna ds. marketingu w Meta, **prof. Jerzy Bralczyk** – językoznawca i autorytet w dziedzinie komunikacji, **prof. Jacek Czaputowicz** – były minister spraw zagranicznych, **Konstanty Gebert** – dziennikarz, tłumacz, publicysta, **prof. Roberto González** – antropolog z San José State University, **Václav Klaus** – były prezydent i premier Czech, **prof. Grzegorz Kołodko** – były wicepremier i minister finansów, **Ostap Slyvynsky** – poeta i profesor Uniwersytetu Lwowskiego, **dr Rainer Zitelmann** – niemiecki historyk i socjolog, autor ponad 20 książek, **Simon Kuper** – dziennikarz sportowy, felietonista „Financial Times”.

Spotkania mają formułę rozmowy, podczas której mile widziane są pytania od publiczności. Po każdym wydarzeniu uczestnicy będą mogli porozmawiać z autorami w specjalnie przygotowanej **„Strefie Autora”** i zdobyć egzemplarz książki z autografem.

Organizatorem Forum Ekonomicznego jest Fundacja Instytut Studiów Wschodnich. Głównym partnerem wydarzenia pozostaje Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego, partnerem strategicznym zaś – Hotel Gołębiewski, który na czas Forum staje się międzynarodowym centrum debaty publicznej i kulturalnej.

Szczegóły oraz rejestracja:
www.forum-ekonomiczne.pl

eprasa.pl 09e62a2192

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Gorzkie gody PiS-u i Konfederacji

Ostatnia wymiana ciosów między Jarosławem Kaczyńskim a Sławomirem Mentzenem błyskawicznie przełożyła się **na wzrost niechęci** między elektoratami Prawa i Sprawiedliwości oraz Konfederacji. Ci, którzy wyobrażali sobie, że chwilowe zawieszenie broni na prawicy po pierwszej turze wyborów prezydenckich przerodzi się w wielkie pojednanie, musieli przełknąć gorzką pigułkę zawodu. Trwająca – momentami brudna – rywalizacja to jednak element politycznej gry, na który nie ma co się obrażać. Tym bardziej że wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z wyreżyserowanym spektaklem.

Ludwik Pęzioł

Aby stworzyć prawicową większość w przyszłym Sejmie, niezbędna będzie koalicja PiS-u i Konfederacji – to dziś najbardziej prawdopodobny scenariusz, wyłaniający się z większości dostępnych badań sondażowych. Oczywiście niczego nie możemy przewidzieć z całą pewnością; nie brakuje więc takich, którzy snują wizję

eprasa.pl 09e62a2192

powrotu do samodzielnej większości PiS-u w ciągu dwóch lat lub długofalowego przejęcia hegemonii na prawicy przez Konfederację. To przede wszystkim reprezentanci frakcji szczególnie niechętnych wobec konkurencji — wzajemnie obrzucający się niestworzonymi zarzutami, najczęściej wynikającymi z braku realnego rozpoznania politycznego rywala.

Liderzy jednak doskonale zdają sobie sprawę, w jakiej najprawdopodobniej znajdą się sytuacji po kolejnych wyborach. Dlatego grają o maksymalne wzmocnienie swojej pozycji negocjacyjnej. Całość przybiera formę „sporu kontrolowanego", w którym precyzyjnie rozpisano role i dopuszczalne chwyty – tak, by ostre zwarcia o wyborcę mogły trwać, a jednocześnie nie doszło do całkowitego spalenia mostów. Bo to mogłoby doprowadzić do powyborczego pata – scenariusza niekorzystnego dla wszystkich.

Teatrzyk „Wywrócony Stolik" przedstawia...

Głównym celem Konfederacji w toczonej rozgrywce jest ustawienie się w roli „pięknej panny na wydaniu" – kapryśnej, przebierającej w absztyfikantach i wymuszającej coraz lepsze warunki programowe oraz kadrowe. Stąd podział ról: z jednej strony politycy otwarcie mówiący o możliwości sojuszu z Koalicją Obywatelską (m.in. Witold Tumanowicz, Stanisław Tyszka), z drugiej – ci, którzy sprawiają wrażenie, że nadrzędnym celem Konfederacji jest odsunięcie Donalda Tuska od władzy (Krzysztof Bosak, Konrad Berkowicz).

Mylą się jednak ci sympatycy PiS-u, któzy wierzą w realność rzekomego sojuszu Mentzen – Tusk. Choć między Konfederacją a PiS-em istnieją poważne różnice ideologiczne (zwłaszcza w przypadku Nowej Nadziei), to antyplatformerskość wciąż wpisana jest w kod genetyczny tej formacji. Ewentualna próba wejścia w powyborczy sojusz z „obozem uśmiechu" niemal na pewno doprowadziłaby do rozpadu Konfederacji. Wbrew mało wiarygodnym zapewnieniom niektórych jej liderów strona nacjonalistyczna – od wyborców po aktyw – takiej koalicji nigdy by nie zaakceptowała. Również wielu sympatyków Nowej Nadziei uznałoby taki manewr za jawną zdradę.

Politycy Konfederacji grają więc nie tyle na rzeczywistą współpracę z KO, ile na wywołanie niepewności w obozie PiS-u. Celem jest uzyskanie jak największych ustępstw w ramach powyborczego „przetargu na koalicjanta". Ich prawdziwy wybór sprowadza się do dwóch opcji: wejście w koalicję z PiS-em lub kolejne lata w opozycji. Ta druga perspektywa także niesie koszty – bo partia, która przez kolejne kadencje nie potrafi sięgnąć po władzę, szybko staje się dla umiarkowanych wyborców politycznie bezużyteczna.

Jeszcze inną rolę w tym przedstawieniu odgrywa Sławomir Mentzen. Jego celem jest zbudowanie tak silnej pozycji, by w przyszłym układzie nie zostać pożartym przez PiS – co od dawna stanowi źródło obaw Konfederacji jako potencjalnego „junior partnera". Przekaz Mentzena jest jasny: „nie jesteśmy na was skazani" i „to my będziemy dyktować warunki". Problem w tym, że pewne deficyty w rozumieniu relacji międzyludzkich sprawiają, iż liderowi Konfederacji trudno wyczuć granicę między budowaniem podmiotowości a bezsensownym antagonizowaniem potencjalnego partnera. Efektem są liczne zarzuty, że Mentzen wciąż nie wyszedł z politycznej piaskownicy. I rzeczywiście – nieadekwatna reakcja, w której kilkukrotnie nazwał prezesa PiS „politycznym gangsterem", a także powtórzył dawny zarzut o jego rzekomym przyczynieniu się do śmierci Andrzeja Leppera, była przesadzona. Choć miało to być polityczne zagranie z jego strony, finalnie pokazało, że do roli wytrawnego gracza jeszcze mu daleko. Antypisowski beton przyklasnął, ale dla mniej zaangażowanego obserwatora wyglądało to jak trudny do zrozumienia atak politycznej furii.

Dochodzi do tego jeszcze jedna, chętnie powtarzana w kręgach Konfederacji narracja o byciu „wieloletnią ofiarą" nękaną przez PiS: od zakazu wstępu do dawnego TVP, przez posądzenia o prorosyjskość, po sprawę z Marianem Banasiem. PiS nie bardzo potrafi się dziś do tego odnieść, bo przez lata zwyczajnie nie śledził działań środowisk konfederackich, traktując je jako polityczny plankton. Tymczasem zarzuty z drugiej strony – o zdradę, komunizm, covidowe ludobójstwo, akcję „Norymberga 2.0" czy zapowiedzi „pogonienia dziadów" – były na porządku dziennym. Liderzy Konfederacji dobrze to pamiętają, ale liczą, że tamte połajanki odeszły

LIDERZY ZDAJĄ SOBIE SPRAWĘ, W JAKIEJ SYTUACJI ZNAJDĄ SIĘ PO KOLEJNYCH WYBORACH. DLATEGO JUŻ TERAZ GRAJĄ O MAKSYMALNE WZMOCNIENIE SWOJEJ POZYCJI NEGOCJACYJNEJ.

eprasa.pl 09e62a2192

w zapomnienie i nie będą stanowiły przeciwwagi dla tezy o „PiS-owskim agresorze", bo pozycja dawnej ofiary po prostu lepiej wygląda w negocjacjach. Prawda jednak jest taka, że obie strony przez lata się atakowały – i to jest zupełnie naturalny element politycznej rozgrywki.

Zaloty bez wdzięku

Prawo i Sprawiedliwość również dysponuje własnym zestawem ról w tym politycznym teatrze: obok „jastrzębi" pojawiają się też koncyliacjoniści tacy jak Przemysław Czarnek, Janusz Kowalski czy Dariusz Matecki. Sam Jarosław Kaczyński (podobnie jak Mentzen) również „nie potwierdza i nie zaprzecza" ewentualnej koalicji, zdając sobie sprawę z twardych realiów gry, a jednocześnie unikając roli petenta. I podobnie jak w przypadku Konfederacji różnie bywa z poziomem politycznego aktorstwa. Koncyliacjoniści z PiS-u uznali bowiem, że skuteczną metodą na pozyskanie sobie Konfederacji będzie retoryka patriotycznego szantażu: sugerowanie, że brak współpracy z PiS-em to de facto wsparcie dla „antypolskiego Tuska". Problem w tym, że trudno o gorszy sposób dotarcia do wolnościowca niż próba postawienia go pod ścianą. Jego psychologiczna konstrukcja zakłada wręcz alergię na wszelkie formy przymusu – także politycznego. Efekt? Przerzucenie odpowiedzialności za fiasko rozmów na „szantażystę" i trzaśnięcie drzwiami.

Na to wszystko nakłada się jeszcze ledwo skrywana pogarda wobec niedojrzałości i politycznego „wyrobienia", która cechuje wielu przedstawicieli Konfederacji. Dotyczy to zarówno kwestii programowych (choć warto uczciwie odnotować postęp po usunięciu Korwina i Brauna), jak i „wielkościowych" przekonań co do własnych możliwości, wpływów i umiejętności „rozegrania przeciwnika". Tego typu zarzuty tylko utwierdzają konfederatów w przekonaniu, że Kaczyński nikogo nie traktuje po partnersku. Tym bardziej że całą dynamikę komplikuje jeszcze konflikt pokoleniowy: jedna strona mówi o „starszym panu, który powinien przejść na emeryturę", druga – o „chłopcu w krótkich spodenkach". Brak poważnego traktowania, nawet wobec niepoważnych zachowań, ma paradoksalny efekt: nie ukraca ich, lecz potęguje.

Spór (nie)kontrolowany

Pomimo emocjonalnych wybuchów po obu stronach barykady – zaczepek, ripost i przekomarzań – obecny spór nie wyszedł jeszcze poza granice kontrolowanej konfrontacji. To ważne, bo po dniu wyborów wszystko może się zmienić: pojawią się naciski, rozbudzą się apetyty, a działacze, którzy zainwestowali w swoje partie wiele energii, choć mogą przez chwilę wytrzymać głód władzy, nie będą przecież pościć do końca życia. Kluczowe jest, by do tego momentu nie doprowadzić do stanu, w którym obie strony tak bardzo się znienawidzą, że jakakolwiek współpraca stanie się niemożliwa. Obserwowane dziś „rytuały godowe", które politycy PiS-u i Konfederacji uprawiają, by temu zapobiec (a przy okazji spróbować nieco ograć partnera), są – delikatnie mówiąc – mało finezyjne, toporne i pozbawione wyczucia. Dwa światy – PiS-owski i konfederacki – słabo się rozumieją i funkcjonują na podstawie mylnych wyobrażeń o sobie nawzajem, co prowadzi do groteskowych nieporozumień. Oczywiście, wszystko może zakończyć się fiaskiem. Ale jest też pozytywny aspekt całej sytuacji: obie strony rozumieją, że kontakt musi istnieć. Nie można też wykluczyć, że w odpowiednim momencie do gry wkroczy polityczna „swatka" – nowy prezydent Karol Nawrocki – co mogłoby wnieść nową jakość do wzajemnych relacji.

PRAWDA JEST TAKA, ŻE OBIE STRONY PRZEZ LATA SIĘ ATAKOWAŁY – I TO JEST ZUPEŁNIE NATURALNY ELEMENT POLITYCZNEJ ROZGRYWKI.

DWA ŚWIATY – PiS-OWSKI I KONFEDERACKI – SŁABO SIĘ ROZUMIEJĄ I FUNKCJONUJĄ NA PODSTAWIE MYLNYCH WYOBRAŻEŃ O SOBIE NAWZAJEM, CO PROWADZI DO GROTESKOWYCH NIEPOROZUMIEŃ.

eprasa.pl 09e62a2192

Stajemy z Wami do walki

Zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego na prezydenta RP towarzyszyła konferencja Make Europe Great Again w Warszawie. Jednym z jej uczestników był **George-Nicolae Simion**, lider rumuńskiego ugrupowania AUR, z którym rozmawiał **Konrad Wernicki**.

Fot. arch.

– Dobrze widzieć Pana w Polsce.

– Cieszę się, że mogę tutaj być. Serdecznie dziękuję za zaproszenie. Jesteśmy z Wami jako bracia i sojusznicy. Stajemy razem do tej walki. W latach 80. to właśnie Polska dała impuls całej Europie Wschodniej do walki z komunizmem – dzięki Solidarności. Jestem przekonany, że teraz zwycięstwo Karola Nawrockiego będzie miało podobny wpływ – zakończy tendencje, które zagrażają naszej części kontynentu.

– Był Pan uczestnikiem ceremonii inauguracji prezydentury Karola Nawrockiego. Jakie wrażenie na Panu wywarła?

– Była dostojna, prawie królewska, i wysyłająca właściwe sygnały, tym, którzy chcą zniszczyć polski naród, polskie państwo, polskiego złotego. I cieszę się, że Karol jest Waszym prezydentem i jest wojownikiem i będzie walczył z tymi facetami – z polityczną mafią tutaj.

– Jaki Pańskim zdaniem wpływ będzie miała prezydentura Karola Nawrockiego na Polskę i całą Europę?

– Z pewnością pozostawi po sobie dziedzictwo dla narodu polskiego i miejmy nadzieję, że z wieloma głowami państw i rządów uda mu się uczynić Europę znów wielką. Mam nadzieję, że z jego pomocą uda się znowu uczynić z Europy kontynent o fundamentach cywilizacji łacińskiej, aby utrzymać ją jako normalny kontynent, a nie jako śmietnik dla innych cywilizacji, jak w wielu miejscach na Zachodzie. A widzę, co chcą zrobić też z Polską, wysyłając nielegalnych imigrantów z Niemiec, aby zajęli Wasze piękne i spokojne miasta i wsie.

– Polska i Rumunia borykają się z podobnymi problemami w Europie, w Unii Europejskiej, takimi jak federalizacja, Europejski Zielony Ład czy migracja. Jak moglibyśmy sobie nawzajem pomóc?

– Mamy też obecnie problem z naszymi rolnikami związany z umową Mercosur, której należy położyć kres. Mamy tę samą przeszłość. Marszałek Józef Piłsudski powiedział kiedyś, że jesteśmy tym samym narodem pod dwiema flagami narodowymi. Musimy więc współpracować. Musimy podejmować te same działania. Musimy budować wokół inicjatywy wolnych mórz, międzymariańskiego planu międzywojennego, a dzięki jedności w tej części świata przynajmniej Europa Środkowa i Wschodnia zostanie uratowana.

– Tworzycie ogromny ruch, czyli sieć konserwatystów i prawicowych polityków. To jakiś kontratak przeciwko federalizacji w Europie?

– Oczywiście, każda akcja wywołuje reakcję, a my jesteśmy tą reakcją. Jesteśmy przeciwciałami, które chcą zachować normalność i zdrowie na naszym kontynencie. I konferencje takie jak MEGA, którą zorganizowaliśmy w ciągu trzech dni w Warszawie, mają rolę w rozwoju naszego ruchu.

George-Nicolae Simion – rumuński polityk, deputowany, współzałożyciel i lider Sojuszu na rzecz Jedności Rumunów (AUR), z ramienia którego w 2024 roku wystartował jako kandydat w wyborach prezydenckich. W drugiej turze z wynikiem 46,4% przegrał ze swoim konkurentem Nicușorem Danem.

eprasa.pl 09e62a2192

Pracownicy uzależnieni od... PRACODAWCÓW

Brytyjskie związki zawodowe jeszcze do niedawna były przekonane, że sukcesem skończyła się ich batalia o zniesienie albo przynajmniej zmianę tzw. umów zerogodzinowych, szczególnie dyskryminujących pracowników na Wyspach Brytyjskich. Przeciwnicy tych umów już od lat zwracali uwagę, że rozwiązanie, które miało zwiększyć elastyczność umów i poprawić rynek pracy, w wydaniu brytyjskim przeniosło ten kraj niemal **do czasów Karola Dickensa**, którego bohaterowie powieści – zawsze wywodzący się z gminu – byli traktowani jak niewolnicy przez gangi złodziei, przemytników czy domy publiczne. Dzisiaj po podobną formę uzależnienia sięgają – już legalnie i od dekad – pracodawcy.

Paweł Pietkun

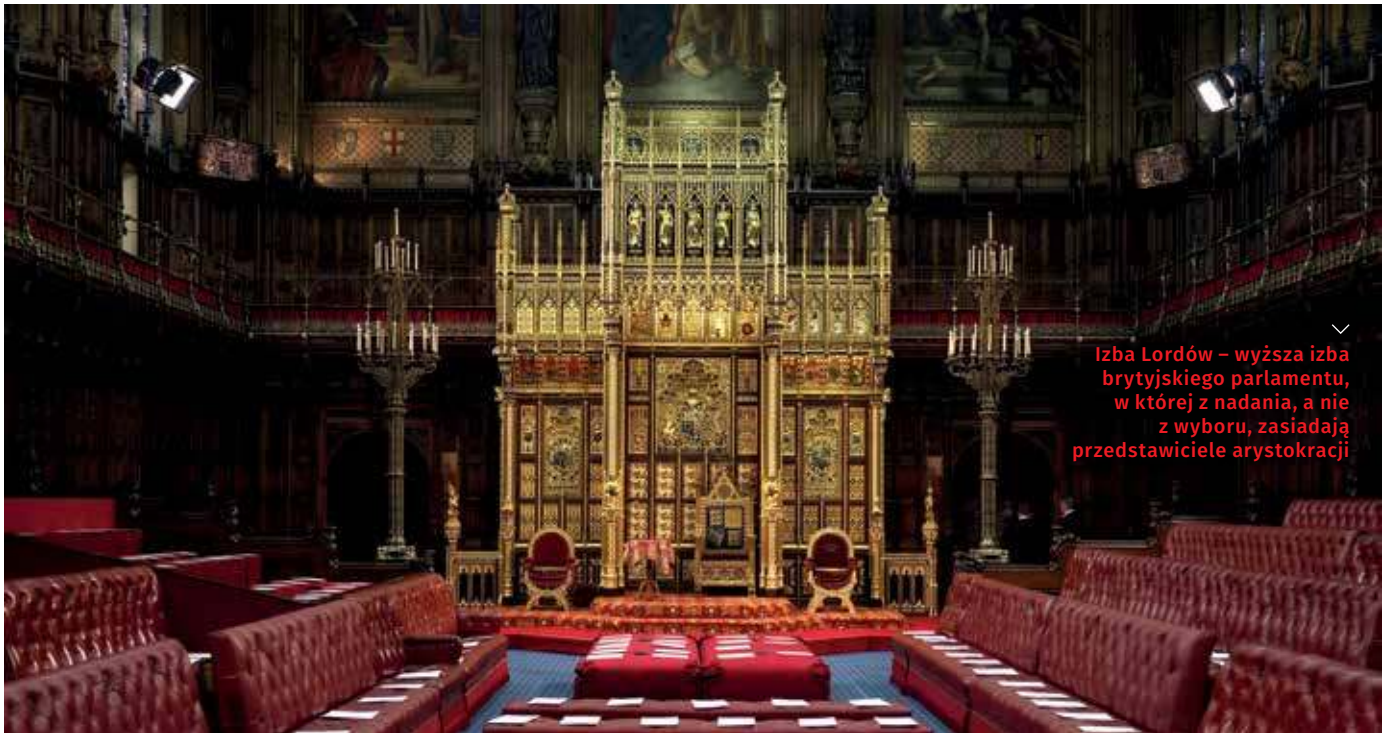

Izba Lordów – wyższa izba brytyjskiego parlamentu, w której z nadania, a nie z wyboru, zasiadają przedstawiciele arystokracji

Fot. POOL / Reuters / Forum

Jeszcze pod koniec lipca wydawało się, że po latach negocjacji z kolejnymi rządami związki zawodowe w Albionie osiągnęły swój cel i doczekały się zmian w prawie – laburzystowski rząd Keira Starmera przygotował stosowną ustawę, która raz na zawsze miała wprowadzić do prawa pracy zasadę równości stron. Jednak to, co było pewne – i co

eprasa.pl 09e62a2192

większością głosów przyjęli posłowie Izby Gmin w Londynie – zostało niemal w całości przeorane i odrzucone przez Izbę Lordów, wyższą izbę brytyjskiego parlamentu, w której z nadania, a nie z wyboru, zasiadają przedstawiciele arystokracji, najczęściej żyjący w dobrej komitywie z najbogatszymi przedsiębiorcami z Wysp Brytyjskich, lub sami będący takimi przedsiębiorcami. Izba Lordów odrzuciła rządowy projekt i odesłała go do ponownego głosowania w niższej izbie parlamentu, wykreślając skrupulatnie wszystkie gwarancje, które mieli dostać od pracodawców przyszli pracownicy.

Zwalniani pierwszego dnia

Umowy zerogodzinowe to czarna zmora brytyjskiego rynku pracy. To kontrakty zobowiązujące pracownika do stawienia się do pracy na każde żądanie pracodawcy pod groźbą natychmiastowego rozwiązania umowy, gdyby ten z różnych powodów nie chciał lub nie mógł podjąć pracy. Przy czym są to umowy, które – podpisywane najczęściej na długi okres lub bezterminowo – nie gwarantują pracownikom, że „zatrudniający" ich przedsiębiorca będzie miał dla nich pracę, a więc w konsekwencji zapłaci im za nią. Ten rodzaj umów był największą zmorą setek tysięcy Polaków, którzy wyemigrowali na Wyspy Brytyjskie w poszukiwaniu pracy i chleba w połowie kadencji pierwszego rządu Donalda Tuska w latach 2007–2014. Dla wielu z nas pobyt na Wyspach okazał się zimnym prysznicem, bo większość z przyjezdnych szybko odkryła, że angielscy pracodawcy w pierwszej kolejności zatrudniają tych, którzy mieli podpisaną umowę o pracę lub właśnie im się ona skończyła. Kilkutygodniowy, a czasem nawet kilkumiesięczny przestój dyskwalifikował każdego bezrobotnego – trwale bezrobotnych po prostu nikt nie zatrudniał.

Umowy zerogodzinowe, nawet jeżeli nie gwarantowały ciągłej pracy, dla wielu pracowników były często najlepszym, bo jedynym, wyjściem z impasu. Problem pojawiał się wówczas, kiedy pracodawca nieoczekiwanie dzwonił i kazał przyjść do pracy nazajutrz, bez względu na święta i plany. Odmowa oznaczała rozwiązanie umowy z wystawieniem referencji, które blokowały jakikolwiek ruch w przyszłości – w Zjednoczonym Królestwie ważniejsze niż dobry życiorys są odpowiednie referencje od poprzedniego pracodawcy. Bez nich zwykle trzeba zaczynać od najniższych stanowisk.

Zmiana, którą zaproponował rząd Keira Starmera, była rewolucyjna. Przede wszystkim nadawała pracownikom prawa do gwarantowanego wymiaru godzin pracy oraz dawała ochronę przed niesprawiedliwym zwolnieniem pierwszego dnia pracy. Takie zwolnienia były kolejnym batem na pracowników i zdarzały się – o czym alarmowały związki zawodowe – wyjątkowo często. Zmiana w tym obszarze dotyczyła przesunięcia możliwości natychmiastowego zwolnienia pracownika o sześć miesięcy od dnia podpisania umowy.

Związki nie odpuszczają

Status umów zerogodzinowych uniemożliwiał pracownikom wstąpienie do związku zawodowego, a samym związkom występowanie w jednostkowej obronie pracownika.

Zaraz po cofnięciu ustawy przez Izbę Lordów to związki zawodowe wszczęły larum w sprawie umów. W ostrym wystąpieniu sekretarz generalny Kongresu Związków Zawodowych Paul Nowak stwierdził, że Izba Lordów „działa na zlecenie złych pracodawców" i powinna „wycofać się" z tych planów.

Poprawki, za którymi stoją lord David Goddard z Partii Liberalno-Demokratycznej, były przewodniczący rady miasta Stockport, oraz dwóch konserwatystów – lord Jeremy Hunt, minister ds. biznesu w gabinecie cieni, oraz lord Andrew Sharpe, były bankier inwestycyjny, będą teraz z powrotem głosowane w Izbie Gmin – to we wrześniu, skąd zostaną wysłane do Izby Lordów. Odsyłanie ustawy pomiędzy izbami brytyjskiego parlamentu będzie się odbywać aż do momentu stworzenia przepisów, na które zgodzą się obie strony.

> W PUBLICZNEJ DYSKUSJI NA TEMAT ZMIAN W PRAWIE PRACY NAPRZECIWKO ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH STANĘLI ZAWODOWI LOBBYŚCI ZATRUDNIENI PRZEZ WIELKI BIZNES.

Nierówna walka

W publicznej dyskusji na temat zmian w prawie pracy naprzeciwko związków zawodowych stanęli zawodowi lobbyści zatrudnieni przez wielki biznes oraz przedstawiciele branż przemysłowych, którzy ostrzegają, że zmiany w prawach pracowniczych doprowadzą do cięcia zatrudnienia wśród normalnych pracowników oraz do podniesienia cen towarów i usług – szczególnie że jesienią czekają ich wyższe podatki, co na początku tego roku zapowiadał rząd.

Związki zawodowe zapowiedziały dalszą walkę o skasowanie umów zerogodzinowych, które – jak utrzymują – czynią z Wielkiej Brytanii kraj zacofany pod względem praw pracowniczych.

eprasa.pl 09e62a2192

Polityczne biznesy socjaldemokratów

Trwające właśnie polityczne trzęsienie ziemi na Litwie przywraca w Europie dyskusję na temat kondycji partii socjaldemokratycznych w krajach byłego Bloku Wschodniego, których politycy – najczęściej w taki czy inny sposób **związani z sowiecką i postsowiecką nomenklaturą** działacze byłych partii komunistycznych i socjalistycznych, czasem tajni współpracownicy komunistycznej bezpieki, a po upadku Bloku Wschodniego wzięci ludzie biznesu, których początki majątków owiane są niejasnościami – stają się bohaterami miliardowych afer gospodarczych.

Paweł Pietkun

Gintautas Paluckas

Fot. Ints Kalnins / Reuters / Forum

W pierwszym tygodniu sierpnia Gintautas Paluckas, dotychczas socjaldemokratyczny premier Litwy i lider Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej, która przebojem wygrała ostatnie wybory do litewskiego Sejmu, złożył rezygnację z urzędu, podając się do dymisji z całym litewskim rządem. Prezydent kraju Gitanas Nausėda dymisję przyjął natychmiast, niemal w tym samym czasie, kiedy Litewska Partia Socjaldemokratyczna opublikowała oświadczenie Paluckasa o podjęciu decyzji o rezygnacji z funkcji premiera.

Wątpliwa uczciwość premiera

W lipcu media litewskie opublikowały materiały na temat domniemanych nieprawidłowości, których miał dopuścić się Paluckas, prowadząc działalność biznesową i piastując funkcje publiczne w bliższej i dalszej przeszłości. Niedługo po tych publikacjach gigantyczne śledztwo w tej sprawie wszczęły litewskie organy antykorupcyjne, potwierdzając, że premier nie zapłacił znacznej części kary wysokości 16,5 tys. euro zasądzonej mu w procesie karnym z 2012 r. Skazano go wówczas za to, że jako dyrektor administracyjny wileńskiego ratusza nadużył swoich pełnomocnictw w przetargu na usługę deratyzacyjną w Wilnie, nielegalnie uznając za zwycięzcę firmę, która przedstawiła najdroższą ofertę. W tym samym procesie Paluckasa skazano także na dwa lata więzienia w zawieszeniu na rok.

Na liście zarzutów wobec byłego już premiera pojawiły się również powiązania biznesowe z należącą do jego bratowej firmą Dankora, w której od ponad tygodnia trwają rewizje policji i litewskich służb antykorupcyjnych. Dankora nie raz pojawiała się w interesach z administracją publiczną w Wilnie.

Jakich? Należąca do lidera socjaldemokratów spółka Garnis sprzedawała baterie elektryczne firmie Dankor – wszystko w ramach transakcji finansowanej przez agencję rządową i z wykorzystaniem funduszy unijnych – informowała litewska agencja BNS.

Ujawnione w związku z aferą dane dotyczące majątku Gintautasa Paluckasa szybko pokazały, że jest nie tylko jednym z najpopularniejszych, ale również najbogatszych polityków na Litwie. Paluckas i jego żona posiadają majątek o wartości około 2,298 mln euro i długi w wysokości 37 tys. euro. Większość majątku rodziny stanowią akcje o wartości 1,716 mln euro. I nie jest to majątek zdobyty w ostatnich latach – od 2023 roku jego majątek wzrósł o ponad 50 tys. euro. Choć w porównaniu z całością wydaje się to niewiele, kwota

eprasa.pl 09e62a2192

ta wciąż przekracza przychody Paluckasa z tytułu pełnionego urzędu.

Partia Socjaldemokratyczna od początku zaprzeczała, by Paluckas dopuścił się jakichkolwiek nieprawidłowości w swoich licznych biznesach. Atak na działalność biznesową byłego premiera oraz krytykę pod jego adresem określiła jako „skoordynowany atak" przeciwników politycznych. Jednak partnerzy koalicyjni zagrozili pod koniec lipca wystąpieniem z koalicji, jeśli Paluckas nie poda się do dymisji.

Miliarder z Czech

Palcuckas to nie pierwszy biznesmen socjaldemokrata odchodzący z urzędu w związku z aferą korupcyjną. Po burzliwych wyborach w 2021 roku drugi najbogatszy człowiek w państwie Andrej Babisz, lider partii Ano 2011 (w której programie jest – o ironio – uczciwość i walka z korupcją), przekazywał fotel premiera Czech osobie z konkurencyjnej partii politycznej. Kilka lat wcześniej dwukrotnie zostawał premierem koalicyjnego rządu Ano, Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej oraz Komunistycznej Partii Czech i Moraw (formalnie komuniści byli poza koalicją, ale udzielali poparcia rządowi) i jako pierwszy premier swojego kraju doczekał się rekordowych protestów społecznych, w których udział wzięło ponad ćwierć miliona osób.

Babisz jest nie tylko politykiem – to również czeski miliarder, właściciel jednej z największych firm w państwie, spółki Agrofert, którą zakładał zaraz po tym, jak rozpadła się Czechosłowacja. Najgłośniejsza afera z udziałem Babisza dotyczy jego reprezentacyjnej, prywatnej rezydencji, za której remont i rozbudowę zapłaciła... Unia Europejska. Zdaniem prokuratury w Pradze Babisz wyłudził unijne pieniądze i nigdy ich nie rozliczył.

Historia majątku Babisza podobna jest do historii innych komunistycznych działaczy z Europy Środkowej i Wschodniej. Pracę zaczynał w kontrolowanej przez władze komunistyczne centrali handlu zagranicznego – szybko awansował na przedstawiciela centrali w Maroku, jednocześnie będąc tajnym współpracownikiem czechosłowackiej służby bezpieczeństwa ŠtB. Dzisiaj z majątkiem 2 mld dolarów czeka na wyrok czeskiego Sądu Najwyższego, który ma zapaść w najbliższych tygodniach – prokuratorzy i czeski IPN domagają się dożywotniego zakazania Babiszowi pełnienia funkcji publicznych. Proces w sprawie wyłudzenia unijnych pieniędzy na remont prywatnej rezydencji również będzie miał swój finał w najbliższym czasie.

ANDREJ BABISZ JEST NIE TYLKO POLITYKIEM – TO RÓWNIEŻ CZESKI MILIARDER, WŁAŚCICIEL JEDNEJ Z NAJWIĘKSZYCH FIRM W PAŃSTWIE.

Pożyczki, darowizny, kredyty

Afery gospodarcze socjaldemokratów znamy również z polskiego podwórka. To koordynowana przez Mieczysława Rakowskiego i Leszka Millera (co wiemy z odtajnionych akt śledztwa) tzw. moskiewska pożyczka. Żyli z niej politycy byłej PZPR, m.in. Jerzy Urban, który za część pożyczki zbudował swój tygodnik „NIE".

To także niewyjaśniona afera potocznie nazywana „Trójkątem Buchacza", która wybuchła za czasów rządu Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza – w jej wyniku Skarb Państwa utracił kontrolę nad majątkiem, którego wartość szacuje się (według wyceny z różnych lat) na 500–800 mln zł.

To także wciąż niewyjaśniona afera Rywina czy afera Laboratorium Frakcjonowania Osocza. Kryją się za nią wydarzenia związane z rozpoczętą w 1995 roku inwestycją, którą miało być Laboratorium Frakcjonowania Osocza w Mielcu. To miejsce nigdy jednak nie powstało, a w 2001 prokuratura w Tarnobrzegu rozpoczęła śledztwo w sprawie wyłudzenia kredytu na jego budowę. Inwestycja otrzymała z konsorcjum banków (główny Kredyt Bank) kredyt w wysokości 34 mln dolarów poręczony przez rząd Włodzimierza Cimoszewicza. W 1998 roku LFO podpisało umowę licencyjną z australijską firmą CSL. Rok później bank wstrzymał kredytowanie inwestycji, a kolejne 12 miesięcy później CSL wycofało się z niej. W 2000 roku LFO podpisało nową umowę licencyjną z firmą Octapharma, bank zaś ostatecznie zerwał umowę z LFO. Sprawą zajęła się prokuratura, ale do dzisiaj jej nie wyjaśniono do końca.

Każda z tych afer doprowadzała do upadku rządu – wszystko jedno gdzie: w Polsce, w Czechach czy na Litwie. Afera na Litwie ma największe szanse na pełne wyjaśnienie – jest bowiem najlepiej udokumentowana, determinacja Litwinów zaś wydaje się największa. Jej bohater – Gintautas Paluckas – stracił poparcie społeczne i pomimo mocnej pozycji w partii oraz dość pokaźnego majątku w swoim kraju kariery już nie zrobi. Gdyby okazało się, że litewskie sądy będą zbyt zdeterminowane, może liczyć na poparcie socjaldemokratów z całej Europy, którzy coraz głośniej mówią o konieczności obrony polityka.

eprasa.pl 09e62a2192

Od „whitewashing” do „BLACKWASHING”

Ogi Ugonoh, polska influencerka nigeryjskiego pochodzenia, publicznie głosi: „biała kultura to rasizm i kolonializm”. Polska Akcja Humanitarna przekonuje, że nie istnieje „rasizm odwrócony”. Ten brak społecznej symetrii ma **szeroki zasięg**.

Katarzyna Kasjanowicz

Mała Syrenka – postać stworzona przez Hansa Christiana Andersena prawie 190 lat temu była opisana jako złotowłosa i niebieskooka piękność. w filmie „Mała syrenka” z 2023 r. tytułową bohaterkę gra czarnoskóra aktorka Halle Bailey.

Fot. materiały dystrybutora

eprasa.pl 09e62a2192

Coraz częściej białe osoby wyglądają jak te czarnoskóre, nie oddając jakiegokolwiek hołdu, jakiegokolwiek szacunku tej grupie społecznościowej – opowiadała Ogi Ugonoh dwa lata temu na kanale YouTube Red Lipstic Monster. Antyrasistowska aktywistka przekonywała, że noszenie warkoczyków jest zawłaszczaniem kultury osób czarnoskórych. Mówiła to z niepodważalną wiarą we własne słowa, siedząc w europejskim studiu i popijając sok ze szklanki stojącej na stole. Ugonoh miała na sobie ubiór jednoznacznie kojarzący się z białymi ludźmi. Jedynym atrybutem afrykańskiego rodowodu były włosy splecione w cienkie warkoczyki. Jej niechęć do kraju, w którym żyje, została skomentowana głównie przez niszowe media, i dziś praktycznie niewiele osób już o tym pamięta. Całe szczęście, bo postawa Ugonoh stanowi margines. Ale samo zjawisko zaszczepiania pedagogiki wstydu, poczucia winy i obowiązku rekompensaty wobec osób ciemnoskórych – już nie. Białym społecznościom odbiera się narzędzia obrony. Na stronach Polskiej Akcji Humanitarnej przeczytamy obszerną analizę zjawiska rasizmu. Jeden z punktów brzmi: „Dlaczego uprzedzenia wobec osób białych to nie rasizm?". Dalej znajdujemy wyjaśnienie, którego fragment przytaczam poniżej: „[...] Rasizm jest formą podtrzymywania władzy i przywileju białej skóry, których osoby ciemnoskóre historycznie nie miały i nie mają współcześnie ani w Europie, ani w Azji, ani w Ameryce czy w Australii. Współczesny rasizm to system strukturalnych korzyści, który faworyzuje osoby białe w różnych sferach życia społecznego, politycznego i ekonomicznego. Rasizm pojawia się wtedy, gdy do stereotypu i uprzedzenia dodamy czynnik władzy (np. w szkole, w miejscu pracy, w polityce, w szpitalu), której zadaniem jest utrzymanie uprzywilejowanej pozycji". W świetle tak rozumianego zjawiska nie dziwi fala nienawistnej krytyki, która spłynęła na Donalda Trumpa, gdy poruszył kwestię morderstw białych farmerów w RPA. Bo przecież uprzywilejowany człowiek nie może być ofiarą...

„Whitewashing"

„Whitewashing" w filmie oznacza praktykę obsadzania białych aktorów w rolach osób, które są wyraźnie przedstawiane jako należące do innej rasy. Takie zastępowanie kolorowych bohaterów odtwórcami o jednoznacznie europejskiej i północnoamerykańskiej urodzie sięga początków kinematografii. Rudolph Valentino jako egzotyczny szejk, Pierre Brice udający rdzennego Amerykanina Winnetou, Gojko Mitić odgrywający role wybitnych wodzów indiańskich czy uroczy blondyn Mickey Rooney ucharakteryzowany na reprezentanta Kraju Kwitnącej Wiśni (Yunioshi w „Śniadaniu u Tiffany'ego") – to powszechny zwyczaj jeszcze w latach 70. XX w. Podałam oczywiście tylko 4 kojarzone przez większość kinomanów przykłady z trudnej do zliczenia listy osobliwości charakteryzatorskich. I jak byśmy dziś powiedzieli – rasizmu panującego w świecie X Muzy. Należy jednak pamiętać o przynajmniej dwóch rzeczach. Były to czasy ściślej oparte na promocji znanych nazwisk mających, podobnie jak dziś, przyciągnąć widzów do kin i przed telewizory. To bezwzględna logika rynku dyktuje warunki i nie ma nic wspólnego z dyskryminacją rasową, a jedynie opiera się na kalkulacji dochodów z produkcji. Lecz oprócz ewidentnej reklamy znanych, białych twarzy sto lat temu, a nawet jeszcze kilka dekad temu, nie było tak szerokiego wyboru aktorów oczekiwanej rasy. Ponadto w pierwszych dekadach kinematografii sztuka charakteryzatorska także stanowiła wyzwanie dla młodych, ambitnych artystów. Oni dopiero przecierali szlaki swoim następcom i badali granice warsztatu, by zobaczyć, jak wiele można osiągnąć umiejętnymi technikami. Obecnie więc warto oglądać stare filmy, zwłaszcza te z pierwszej połowy XX w. z przymrużeniem oka, bez

„RASIZM TO POGLĄD OPARTY NA PRZEKONANIU O NIERÓWNEJ WARTOŚCI BIOLOGICZNEJ, SPOŁECZNEJ I INTELEKTUALNEJ RAS LUDZKICH, ŁĄCZĄCY SIĘ Z WIARĄ WE WRODZONĄ WYŻSZOŚĆ JEDNEJ RASY". NIE MA W TYM WYJAŚNIENIU NAJMNIEJSZEJ WZMIANKI O KONKRETNYM KOLORZE SKÓRY.

eprasa.pl 09e62a2192

negatywnych emocji i dorabiania rasistowskich teorii – odbierać je jako sentymentalną podróż w czasie, w którym polityczna poprawność nie przesłaniała scenariusza.

Nieważne, co potrafisz, ważne... kim jesteś

Kilka lat temu rozgorzała dyskusja na temat równości wizerunkowej we współczesnej kinematografii. Osoby zaangażowane w produkcję i dystrybucję filmową zauważyły nie bez kozery zresztą, że obrazy filmowe nie ukazują prawdziwego świata z jego społeczną i rasową różnorodnością. Ostatnie dekady XX w. w kinematografii Ameryki – kraju tak zróżnicowanego etnicznie – zdominowane zostały przez białych aktorów. Do rangi niesławnego symbolu urósł serial „Przyjaciele" z przełomu wieków, którego akcja rozgrywała się na Manhattanie. Wszyscy bohaterowie tej wielooodcinkowej obyczajowej komedii byli biali, podczas gdy społeczność Nowego Jorku w blisko połowie składa się z ludności kolorowej. Niemal 20 lat później Akademia Filmowa przyznająca Oscary dodała 4 nowe kategorie wymagane w rywalizacji o największą nagrodę X Muzy. Wszystkie związane są z parytetami, a jedną z nich jest wymóg uwzględnienia w scenariuszu co najmniej 30 procent tzw. mniejszości – także tej obejmującej ludzi o innym kolorze skóry niż biały. O ile z tym można by jeszcze polemizować, że w produkcjach obyczajowych czy sensacyjnych ma to swoje uzasadnienie, o tyle nachalne zastępowanie w nowych wersjach starych hitów, będących podwalinami popkultury, białych postaci opartych na literackim pierwowzorze czarnymi aktorami ma fatalne konotacje. Osobom wychowanym jak ja w epoce PRL-u przywodzi to na myśl nic innego jak tzw. punkty przykładami, przypomnę może, jak kiedyś nazywano takie praktyki.

Rasizm – słowo sformatowane

Według definicji, którą znajdziemy w Słowniku Języka Polskiego PWN, „rasizm to pogląd oparty na przekonaniu o nierównej wartości biologicznej, społecznej i intelektualnej ras ludzkich, łączący się z wiarą we wrodzoną wyższość jednej rasy". Nie ma w tym krótkim, klarownym wyjaśnieniu najmniejszej wzmianki o konkretnym kolorze skóry. Nierówna wartość to gorsze traktowanie, uprzywilejowanie jednych kosztem drugich czy w końcu próba usprawiedliwienia popełnionej zbrodni. Może dotyczyć coraz bardziej powszechnych nastrojów niechęci w społeczeństwie chińskim wobec białych osób, tylko dlatego za pochodzenie. Zwłaszcza że nowa kategoria hollywoodzka dotycząca mniejszości zakłada także udział grup objętych odgórnym parytetem w produkcji lub reklamie. I to nie jako szeregowych pracowników, ale osób na kierowniczych stanowiskach. A więc nie kryterium kompetencji, lecz m.in. cechy rasowe decydują o miejscu na drabinie zawodowej i zarobkach. Zanim pochylę się nad kilkoma kuriozalnymi że mają inny odcień skóry, ale też w skrajnych przypadkach prowadzić do ludobójstwa, które obserwujemy w Strefie Gazy. Zbrodnia rasistowska to wreszcie ta przywołana przed Donalda Trumpa – zabójstwa białych farmerów w RPA. Na szczęście już ponad 150 lat upłynęło od powstania organizacji Ku Klux Klan, uznanej za skrajnie rasistowską, która walczyła o utrzymanie supremacji białych protestantów w USA.

> NA STRONACH POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ MOŻEMY PRZECZYTAĆ: „WSPÓŁCZESNY RASIZM TO SYSTEMOWA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA, POLITYCZNA I EKONOMICZNA NAPĘDZANA PRZEZ ŚWIATOWĄ GOSPODARKE".

I choć powszechnie jej działania kojarzą się z nienawiścią wobec osób czarnoskórych, KKK uderzała także w Żydów i ludność katolicką. Jednakże na stronach Polskiej Akcji Humanitarnej możemy przeczytać: „Współczesny rasizm to systemowa niesprawiedliwość społeczna, polityczna i ekonomiczna napędzana przez światową gospodarkę. Rasizm strukturalny przejawia się w sposobie działania współczesnych społeczeństw, w których osoby białe nie muszą myśleć o swoim kolorze skóry jako jednym z czynników warunkujących ich status społeczny i ekonomiczny (stanowisko pracy, szkoła, sposób traktowania i postrzegania przez innych ludzi, sposób traktowania przez służby mundurowe i przez instytucje rządzące)". Chciałoby się zapytać autora tej nowej,

eprasa.pl 09e62a2192

poszerzonej definicji, czy faktycznie osoby białe nie muszą myśleć o swoim kolorze skóry warunkującym sposób ich postrzegania przez służby mundurowe? Przypomnijmy sobie początek ruchu społecznego „Black Lives Matter", który narodził się po policyjnej interwencji wobec czarnoskórego recydywisty zakończonej jego śmiercią. George Floyd wielokrotnie kradł, napadał (jedną z jego ofiar była kobieta w zaawansowanej ciąży), handlował narkotykami. A jednak to właśnie on stał się symbolem ruchu apelującego o to, by życie osób czarnoskórych było tak samo ważne, jak wszystkich pozostałych. Kiedy zestawi się ten postulat z reakcją służb mundurowych – szef policji Medaria Arradondo i sierżant Dave O'Connor uklękli, gdy przejeżdżał kondukt żałobny z ciałem Floyda – chciałoby się zapytać, czemu biali pospolici przestępcy nie są żegnani z takimi honorami?

CZY W ŚWIETLE NOWYCH ZASAD PRZYZNAWANIA OSCARÓW BIALI FAKTYCZNIE NIE MUSZĄ MYŚLEĆ O SWOIM KOLORZE SKÓRY PODCZAS CASTINGÓW?

„Blackwashing"

Z powyższą definicją rasizmu mogą też polemizować amerykańscy aktorzy. Czy w świetle nowych zasad przyznawania Oscarów biali faktycznie nie muszą myśleć o swoim kolorze skóry podczas castingów? Nie dotyczy to zresztą wyłącznie Hollywood, ale całego świata filmowego. Wiele uzasadnionych kontrowersji wzbudziło osadzenie w roli tytułowej filmu „Mała syrenka" z 2023 r. Halle Bailey. Postać stworzona przez Hansa Christiana Andersena prawie 190 lat temu była opisana jako złotowłosa i niebieskooka piękność. Wizerunek Ariel – niebieskookiego rudzielca o jasnej karnacji – spopularyzowała wytwórnia Disneya w 1989 r. i takie wyobrażenie baśniowej syrenki funkcjonuje w popkulturze. Tymczasem chyba tylko w ramach walki z wizerunkiem białej, jasnookiej dziewczyny – bo taki zabieg nie jest już niczym oryginalnym ani ożywczym – zmieniono Ariel w Afroamerykankę. Zostawiono jej tylko rudawe włosy, podobnie jak najważniejszej ludzkiej postaci w nowej wersji „Wojowniczych Żółwi Ninja" April O'Neil. Lecz i ta towarzyszka zielonych stworów stała się mimo protestów fanów zarówno kultowego filmu z 1990 r., jak i serialu animowanego z przełomu lat 80. i 90. czarnoskóra. Jeszcze więcej kontrowersji wzbudziły kilka lat temu podobne rasistowskie wybory obsady w nowej wersji serialu „Wiedźmin" czy trwające właśnie kompletowanie obsady nowej wersji „Harry'ego Pottera". W tej produkcji HBO jeden z najważniejszych bohaterów Severus Snape, nauczyciel o bardzo bladej twarzy i kruczych włosach, grany dwie dekady temu przez charyzmatycznego Alana Rickmana, ma mieć czarne oblicze Paapy Essiedu. Z odtwórcą ekscentrycznego profesora, specjalisty od eliksirów, łączy Essiedu tylko brytyjskie obywatelstwo. Rodzice Paapy pochodzą z Ghany, a jego jednoznaczna uroda predestynuje go raczej do odtwórcy głównej roli w nowej wersji serialu „Zulus Czaka". To zaledwie wierzchołek absurdów nachalnej poprawności politycznej. I pół biedy, gdy rujnuje się tylko obszar popkultury, zwłaszcza jeśli postacie są fikcyjne czy wręcz baśniowe. Gorzej, jeśli w podobny sposób, zasłaniając się tarczą parytetów, fałszowana jest historia, tak jak pokazuje to inny serial Netfilixa – „Królowa Kleopatra", którą zagrała ciemnoskóra Adele James. Już w fazie produkcji ten dobór wzbudzał kontrowersje nie tylko historyków. Czy zostałby ukończony i wyemitowany film, w którym Martina Luthra Kinga albo Baracka Obamę grałby Tom Cruise lub Brad Pitt? Szczerze wątpię!

CZY ZOSTAŁBY UKOŃCZONY I WYEMITOWANY FILM, W KTÓRYM MARTINA LUTHRA KINGA ALBO BARACKA OBAMĘ GRAŁBY TOM CRUISE LUB BRAD PITT? SZCZERZE WĄTPIĘ!

eprasa.pl 09e62a2192

KULTURA

Czytaj też:

Na Zachodzie bez zmian 60

Fot. arch

Nie szukam konfliktów

– Żeby być artystą, trzeba być też influencerem. Nigdy nie chciałem nim być. I nie chcę nim zostać, chociaż obecnie trzeba podążać w tym kierunku. Takie są czasy i tego nie przeskoczę. Chcę wychodzić na scenę z gitarą i grać przed ludźmi. Chcę, żeby dobrze i miło spędzali czas przy mojej muzyce – mówi **Jan Majewski**, wokalista, autor tekstów, kompozytor, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

eprasa.pl 09e62a2192

Singiel „**Zaryzykuję**” to piosenka o przełamywaniu własnych barier i otwarciu się na miłość. Idealna zarówno dla młodych ludzi, którzy przeżywają pierwsze zauroczenie, jak i dla każdego, kto kiedykolwiek musiał postawić wszystko na jedną kartę w imię uczuć.

– Czym obecnie ryzykuje młody artysta taki jak Ty?
– Wszystkim. Obecnie są ciężkie czasy, żeby być artystą. Trzeba się mierzyć z wieloma przeciwnościami losu.

– Dlaczego życie artysty jest ciężkie?
– Obecnie trudno jest zaistnieć. Z jednej strony każdy może udostępnić swoją twórczość, ale z drugiej – jest olbrzymia konkurencja. Podaż bardzo często przewyższa popyt.

– Jaki masz plan na siebie?
– Nie poddawać się, nieustannie działać, wciskać, gdzie się tylko da. Uderzać do wszystkich drzwi, próbować wszystkiego w zgodzie z samym sobą. Nie byłbym w stanie tworzyć dram, żeby podbić sobie zasięgi. Nie szukam konfliktów. Jestem przyjazny.

– Jak rozpoczęła się Twoja współpraca z Hotelem Torino, czyli Patrykiem Kumorem i Dominiciem Buczkowskim?
– Chciałem stworzyć utwór, który będzie trafiał do dużej grupy odbiorców. Z tego powodu odezwałem się do chłopaków, czyli do Hotelu Torino. Przyjechałem do nich, stworzyliśmy utwór. Spędziliśmy nad nim kilka godzin. W trakcie sesji byłem trochę zniesmaczony.

– Dlaczego?
– Wróciłem do domu. Przesłuchałem utwór i uznałem, że mi się nie podoba. To nie byłem ja.

– I co dalej?
– Przyjechałem do chłopaków do studia. Podali trzy propozycje. To były szkice utworów. Wybraliśmy jeden z nich, jednak później uznałem, że był zbyt popowy. Nie było mnie w tym utworze. Po wielokrotnym przesłuchaniu moja teza wciąż się potwierdzała. Zadzwoniłem do nich. Powiedziałem im o tym i umówiliśmy się na następną sesję. Przyjechałem z gitarą i zacząłem szukać na niej dźwięków. W ten sposób znalazłem główną melodię z „Zaryzykuję”. Na jej podstawie stworzyliśmy nowy utwór. Jest popowy, ale jest mój.

– Jak wyglądał podział pracy?
– Każdy przy utworze pracuje tyle samo. Nie ma podziałów, kto więcej, a kto mniej. Tam pracuje bardzo duży zespół. Współpraca z nimi była bardzo ciekawym doświadczeniem. Przyjeżdżasz do nich i spotykasz wiele popularnych postaci polskiej sceny muzycznej. Spotkałem tam Justynę Steczkowską czy Wersow. Idealne miejsce, żeby budować rozległą sieć kontaktów. Miałem też przyjemność nagrać utwór świąteczny z Izabelą Trojanowską.

POLECAM PÓJŚCIE DO „THE VOICE OF POLAND”, BO JEST TO DUŻA PRODUKCJA.

– Zmieniając temat, kiedyś startowałeś w polskich eliminacjach do Eurowizji. Ten festiwal wciąż jest w Twoim obszarze zainteresowań?
– Jak jest czas eurowizyjny, to kibicuję polskim reprezentantom.

– Jak wygląda Twoja ścieżka edukacyjna?
– Studiowałem. Skończyłem rok temu technikum elektroniczne. Szczerze powiedziawszy, to byłem średnim uczniem. Wybrałem technikum, ponieważ tata zasugerował mi, żebym nie szedł do liceum, tylko do technikum, żeby mieć już wyuczony zawód. A nauka w technikum wydawała się ciekawsza niż w liceum. Elektronika jest bardzo praktyczna. Zawsze można coś zlutować albo naprawić w domu. Tam uczyłem się, byleby zdać, ponieważ głównie zajmowałem się muzyką. Wszyscy wiedzieli, że technikum jest dla mnie etapem przejściowym i że nie wiążę przyszłością z elektroniką. I tak w sumie się stało. Byłem pierwszym rocznikiem, który miał 5-letnie technikum. Gdy rozpoczynała się piąta klasa, pani dyrektor podeszła do mnie i zaproponowała mi indywidualny tok nauczania. Skąd taka propozycja? Bardzo rzadko byłem w szkole. I na szczęście nikt problemów z tego nie robił. Po krótkim zastanowieniu zgodziłem się na propozycję pani dyrektor. Chodziło mi o to, żeby zdać maturę. Bardzo dużo się do niej uczyłem. Bardzo dużo wyniosłem z indywidualnego nauczania. Maturę napisałem na tyle dobrze, że dostałem się na Politechnikę Warszawską.

– Jaki kierunek wybrałeś?
– Elektronika. Tylko to był za duży skok. Żeby przetrwać na polibudzie, trzeba się bardzo dużo uczyć. Trzeba bardzo dużo ogarniać, zanim się ›

eprasa.pl 09e62a2192

tam trafi. Zdałem maturę i uznałem, że spróbuję, bo co mi szkodzi.

– Były jeszcze opcje poza politechniką?
– Politechnika Gdańska, Wrocławska. Aplikacje wysyłałem na przeróżne kierunki. Elektronika, automatyka, mechatronika, informatyka.

– Jak długo studiowałeś na Politechnice Warszawskiej?
– Całe dwa miesiące. Uznałem, że to nie jest dla mnie.

– Planujesz mieć kiedyś wykształcenie wyższe?
– Wydaje mi się, że tak.

– Potem będzie Ci ciężej wrócić do studiowania.
– Wiem. Jeżeli będę chciał pójść na studia, to wybiorę kierunki związane z realizacją dźwięku czy produkcją muzyczną. Na polibudzie przerosły mnie matematyka i fizyka. A prawdopodobnie nie pracowałbym w przyszłości w zawodzie elektronika.

– Jak wyglądał indywidualny tok nauczania w technikum?
– Spotykaliśmy się w godzinach dostępnych dla nauczyciela i dla mnie. Zazwyczaj to były normalne godziny szkolne. Między 10.00 a 13.00. Język polski miałem w pokoju nauczycielskim, a przedmioty zawodowe w pracowniach. Tylko nauczyciel i ja. Jeżeli chodzi o matematykę, to przychodziłem do nauczycielki do domu, ponieważ mieszkała blisko mnie. Język angielski miałem online. Pani od fizyki od razu zauważyła, że fizyk ze mnie żaden. Dała mi zadania, żebym je rozwiązał.

– Widzę, że wydawanie singli przypadło Ci do gustu?
– Planuję niedługo wydać album. Prawdopodobnie ukaże się w przyszłym roku. Wydawanie singli pomoże przebić się przez sufit, do którego doszedłem i który próbuję nieustannie przebić.

– Ile masz lat?
– 20.

– Chłopie, przecież całe życie przed Tobą!
– Im częściej będę publikował single, tym jest większe prawdopodobieństwo, że trafię do większej grupy osób.

NIE BYŁBYM W STANIE TWORZYĆ DRAM, ŻEBY PODBIĆ SOBIE ZASIĘGI.

– Skąd u Ciebie takie dojrzałe i surowe podejście?
– Skończyłem szkołę i uznałem, że trzeba coś robić w życiu.

– Masz plan B?
– Na razie wszystko stawiam na muzykę i będę o to walczył. Chociaż całkiem niedawno myślałem, żeby zostać pilotem samolotów pasażerskich.

– Jeżeli nie wyjdzie Ci nic z muzyki, to...?
– To wtedy zobaczymy.

– Płytę, tak jak i singiel, będziesz tworzyć z Hotelem Torino?
– To była jednorazowa sytuacja. Jeżeli będę tworzył płytę, to uderzę do producentów, z którymi współpracowałem na poprzedniej płycie.

– Sam ją będziesz wydawał?
– Zastanawiam się nad tym. Kiedyś dostałem propozycję kontraktu, ale ją odrzuciłem, bo miałem już gotową płytę. A artystów jest coraz więcej.

– Poszedłbyś znowu do talent show?
– Dziś już nie. Myślisz, że to by coś zmieniło w mojej karierze? Byłem już w „The Voice of Poland", pokazałem się dużej grupie widzów. Była też „Szansa na Sukces". Niech to będzie historia, a ludzie niech oglądają mój rozwój w innej przestrzeni. Jednak polecam pójście do „The Voice'a", bo jest to duża produkcja. Można zebrać spore doświadczenie i poznać wiele osób. Pamiętam, że jak wchodziłem do programu, to byłem skryty i zestresowany. A jak już odpadłem na którymś etapie, to nabrałem odwagi. Zebrałem grono osób, które zaczęły mi kibicować po programie, co dało mi olbrzymiego kopa.

– Masz już swój fanklub?
– Ktoś mnie tam śledzi [śmiech].

– Wracając do „Zaryzykuję", to ten numer jest mocno popowy.
– Bo taki miał być.

– A nadchodząca płyta będzie...?
– Bardziej gitarowa i bardziej alternatywna niż poprzednia. To jestem ja! Debiutancka płyta była dość zróżnicowana. Druga będzie podobna.

– Kto jest odbiorcą Twojej muzyki? I do kogo chcesz dotrzeć?
– Wiek nie ma znaczenia. Uderzam w szeroki zakres.

– Skąd u Ciebie tak mało podejścia marketingowego i influencerskiego do muzyki?
– Żeby być artystą, trzeba być też influencerem. Nigdy nie chciałem nim być. I nie chcę nim zostać, chociaż obecnie trzeba podążać w tym kierunku. Takie są czasy i tego nie przeskoczę. Chcę wychodzić na scenę z gitarą i grać przed ludźmi. Chcę, żeby dobrze i miło spędzali czas przy mojej muzyce.

eprasa.pl 09e62a2192

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

PALUCH, OER – MAPA
WYD. BIURO OCHRONY RAPU

Co tu się wydarzyło? Możemy mówić o drugim życiu Palucha? Możliwe, możliwe. OER dostarczył takie elektroniczne bity, że brakuje mi słów. Idealne na parkiet i do domu. Szczerze? Wolę Palucha w takiej odsłonie niż rapującego pod bity, które słyszałem już milion razy. Warstwa tekstowa nie zmieniła się znacząco od poprzednich albumów, historie potwierdzające wysoką samoocenę gospodarza. Połączenie z OER-em spadło raperowi z nieba i stworzyło nowy rozdział w karierze, który wzbudził moją olbrzymią ochotę na kolejne części. Łukaszu, idź tą drogą! Polecam!

PTAKOVA – THAW
WYD. COASTLINE NORTHERN CUTS

Takiego wydania Ptakovej jeszcze nie znałem. Dlatego warto poszerzyć horyzonty, poszukać i posłuchać czegoś ambitnego. Album nie jest albumem piosenkowym. Mamy kompozycje, które mają za zadanie pobudzić naszą wyobraźnię. Nie doświadczymy tutaj taniego plastiku, tworzonego pod liczby i algorytmy w mediach społecznościowych oraz serwisach streamingowych. Muzyczne pejzaże, których słucha się jak audiobooka z zapartym tchem. Odgłosy przyrody pomieszane z krzykiem dzieci. Radość pomieszanA ze smutkiem. Ekstaza – ze strachem. A to wszystko w 18 minut w sześciu utworach. Muzyczny majstersztyk. Polecam!

JULIA PIETRUCHA, MIUOSH – SIERPNIOWE
WYD. FDGREC, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Bardzo chłodny i surowy album upamiętniający rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Co zrobić, żeby temat znany każdemu na nowo uzyskał blask, a ważne zagadnienie nie spowszedniało? Dodać do wzruszających historii kompozycje, które nie trącą myszką. To właśnie stało się na „Sierpniowych". Album zrealizowany w punkt bez słabych momentów. Bardzo pomocne są oniryczne interpretacje, które wprowadzają spokój duszy i oderwanie się od bezużytecznych bodźców, które zaśmiecają nasze życie. Doskonała, żywa lekcja historii, której warto posłuchać. Polecam!

TYLA – WWP
WYD. EPIC

A na koniec naszej rubryki ruszamy na parkiet przy akompaniamencie nowoczesnych, latynoskich brzmień, gdzie nogi same chodzą, nawet osobom, które nie umieją tańczyć. Lato to czas, w którym warto spróbować ponieść się muzyce i zapomnieć o świecie i kompleksach. Płyta „WWP" idealnie spełnia to zadanie. Tym bardziej że latino mocno rozpycha się w głównym nurcie i jest coraz bardziej dominującą stylistyką w popie. Do Polski małymi krokami dociera ta stylistyka, tylko bardzo często jest mylnie łączona z disco polo.

eprasa.pl 09e62a2192

FILM

Na Zachodzie bez zmian

Sebastian Pytel

Pierwsza scena filmu często bywa kluczowa dla zrozumienia całości. Ustawia kierunek podążania narracji, przedstawia bohatera lub wydarzenie, które będzie rezonować w dalszej części historii, nadaje również ton opowieści. To właściwie cały film skupiony w soczewce, probierz tego, co nastąpi, obietnica spełnienia postawionych założeń. W „Wojnie" Alexa Garlanda i Raya Mendozy te trzy nitki (narracja, bohater – w tym przypadku zbiorowy – i ton) zawiązane w otwarciu, wiodą do istoty tego, czym z perspektywy żołnierza piechoty są działania operacyjne: zderzeniem ciszy z burzą. Najpierw widzimy wspólną zabawę przy głośnej muzyce, chwilę potem nocny, prawie bezdźwięczny, przemarsz pustą ulicą pod irackim niebem. Zestawienie, które w toku akcji będzie powracało niczym refren w piosence.

Elitarny oddział amerykańskiej marynarki wojennej, misja w Iraku, rok 2006. Zadanie: przygotowanie pozycji snajperskich. Realizacja: tymczasowe przejęcie domu dwóch miejscowych rodzin, techniczne wzięcie ich za zakładników. Następnie stałe, przećwiczone czynności wywiadowcze i logistyczne: sprawdzanie terenu, raportowanie do bazy, wymiana informacji z drugim stacjonującym oddziałem. Rutyna. Standardowe procedury nagle przerywa komunikat do wszystkich zgromadzonych w okolicy islamistów o rozpoczęciu dżihadu. Po kilku minutach zaczyna się piekło, Amerykanie zostają odcięci od cięż-

TRUDNO NAZWAĆ „WOJNĘ" INACZEJ NIŻ MIANEM ESENCJI KINA WOJENNEGO. TO NIEMAL DOKUMENTALNA REJESTRACJA NASTĘPUJĄCYCH PO SOBIE WYDARZEŃ.

eprasa.pl 09e62a2192

Fot. kadr z filmu

kiego sprzętu i drogi ewakuacyjnej, serie wybuchów i strzały z karabinów wprowadzają chaos, wprawiają w otępienie, zmysły zawłaszczają strach i ogłuszający szum. Krótka utrata przytomności, z której stopniowo wybudzają świsty latających kul i szalone krzyki poważnie rannych. Cisza ponownie sąsiaduje z hukiem.

W obsypanym Oscarami filmie „The Hurt Locker", o trafnym polskim podtytule „W pułapce wojny", oglądaliśmy podobną emocjonalną huśtawkę. Był czas służby i czas oczekiwania, wyjazdy do Iraku i powroty do domu, ucieczki od śmierci i zmagania z własnym ciałem, odstawionym od wojennej adrenaliny. Cykl, który ciężko było przerwać, pętla zakładana na własnej szyi. Tak jak u Kathryn Bigelow, tak i u duetu Garland/Mendoza polityka majaczy gdzieś na drugim planie. Powszechnie wiadomo o fiasku amerykańskiej propagandy, jakoby głównym celem obalenia rządu Saddama Husajna miało być zabezpieczenie broni masowego rażenia. Jednak z pozycji żołnierza zawodowego prawdziwe lub fikcyjne podłoże konfliktu to jedynie mgła, którą szybko rozwiewa bojowy zgiełk. Tam istnieją przede wszystkim próby ocalenia życia, braterstwo, zachowanie zimnej krwi. Dzień po dniu, zadanie po zadaniu.

Z POZYCJI ŻOŁNIERZA ZAWODOWEGO PRAWDZIWE LUB FIKCYJNE PODŁOŻE KONFLIKTU TO JEDYNIE MGŁA, KTÓRĄ SZYBKO ROZWIEWA BOJOWY ZGIEŁK.

Trudno nazwać „Wojnę" inaczej niż mianem esencji kina wojennego, ociosanego praktycznie ze wszystkiego, co kinowe, fabularne. To niemal dokumentalna rejestracja następujących po sobie wydarzeń, pozbawiona ścieżki dźwiękowej, retrospekcji czy wglądu w prywatność wojskowych, pokazująca wyłącznie czyny i reakcje w trakcie konkretnego starcia. Mimo że patrzymy na twarze całkiem znanych aktorów (choćby Josepha Quinna), to ich obecność zostaje zredukowana do cielesności. Heroizm wiąże się tu z przetrwaniem – swoim i współtowarzyszy. To jednocześnie skrajne przeciwieństwo i ten sam rodzaj myślenia o filmie, co w „Strefie interesów" Jonathana Glazera. Odmienny, bo pokazuje explicite śmierć, przemoc i samą wojnę, a zbieżny dlatego, że niejako wymaga pozakadrowej wiedzy zarówno o naturze konfliktów zbrojnych, jak i o traumach (psychicznych, fizycznych i pokoleniowych), które żołnierze każdej frakcji przywożą z frontu. Wspólne jest także reżyserskie przekonanie o potędze umiejętnego wpisywania ciszy i ostrych dźwięków w tkankę narracyjną. Jedno i drugie dzieło mówi o wiele więcej, niż wprost prezentuje na ekranie. Ostatnia scena „Wojny" jest lustrzanym odbiciem sceny pierwszej: po wrzaskach i odgłosach wystrzałów przychodzi spokój – w powietrzu unosi się kurz, tężeją plamy krwi, cywile mogą wyjść i zobaczyć szare niebo. Do następnego razu.

MIMO ŻE PATRZYMY NA TWARZE CAŁKIEM ZNANYCH AKTORÓW (CHOĆBY JOSEPHA QUINNA), TO ICH OBECNOŚĆ ZOSTAJE ZREDUKOWANA DO CIELESNOŚCI.

„Wojna" (Warfare), reżyseria: Alex Garland, Ray Mendoza, scenariusz: Alex Garland, Ray Mendoza, obsada: Joseph Quinn, Will Poulter, D'Pharaoh Woon-A-Tai, Charles Melton, gatunek: wojenny, produkcja: USA, Wielka Brytania 2025, czas: 95 minut.

eprasa.pl 09e62a2192

Religia

Niezwykłe OBJAWIENIA

Ojciec duchowy Solidarności i męczennik, duszpasterz robotników, służby zdrowia i studentów, bł. ks. Jerzy Popiełuszko, **od 16 lat objawia się** we Fiumicello Francesce Sgobbi. Właśnie ukazała się książka z jego przesłaniami autorstwa Mileny Kindziuk i ks. prof. Józefa Naumowicza pt. „Niezwykłe objawienia ks. Jerzego Popiełuszki we Włoszech". Co ks. Jerzy ma nam dziś do przekazania?

Barbara Andrianić

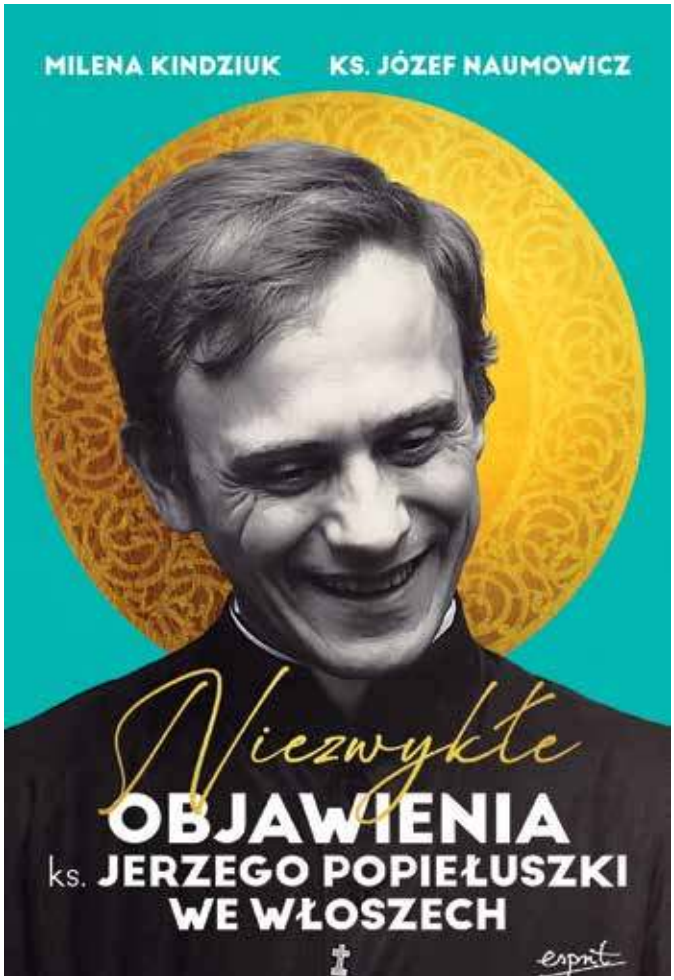

To Francesca chciała, aby książka ukazała się najpierw w Polsce – mówi dr Milena Kindziuk, współautorka „Niezwykłych objawień ks. Jerzego Popiełuszki we Włoszech". Prywatne objawienia zamordowanego kapłana budzą duże zainteresowanie wśród czytelników, a wydawnictwo przygotowuje czwarty dodruk. Dlaczego polski ksiądz, który nie bał się dodawać ludziom otuchy i stawać w obronie prawdy i wolności, przychodzi do Włoszki?

– To tajemnica. Gdy Francesca go o to zapytała, odparł: „Ojciec niebieski posyła mnie do Ciebie" – wyjaśnia ks. prof. Józef Naumowicz.

Jak się okazuje, te słowa należy wziąć dosłownie, ponieważ czytelnik, chcąc nie chcąc, będzie miał okazję skonfrontować treść z własnym życiem. Co więcej, mam wrażenie, że wychwytuje z niej to, co Jerzy chce powiedzieć właśnie jemu. Oto, co w ciągu kilku wieczorów udało mi się usłyszeć z przesłania błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki.

Posłuszeństwo

To o nim przypomina dziś ks. Jerzy. Kochać Boga ponad wszystko i odrzucać to, co może prowadzić do sprzeniewierzenia się tej miłości. Zasadzek jest niemało. Kuszą współczesne bożki i obietnice szczęścia na wyciągnięcie ręki, a ks. Jerzy przekonuje, że odnajdziemy je tylko w posłuszeństwie. Ale jak tego dokonać, gdy w naszą polską naturę wpisany jest bunt, a może nawet mamy tu do czynienia z cechą narodową. Popiełuszko mówi, że z pomocą z góry to możliwe, choć zapewne będzie bolało.

eprasa.pl 09e62a2192

Cierpienie

Mimo długości trwania tych niezwykłych spotkań jest w nich wciąż wiele tajemnic. Dr Milenę Kindziuk zaskoczyła regularność i czas trwania przesłania. 16 lat to niemało, choć w kontekście objawień prywatnych znamy dłuższe, choćby te, które do dziś odbywają się w Medjugorie. Niezwykłe jest również to, że Francesca przyjmuje je z wielką pokorą i nie zabiega o ich nagłośnienie, podobnie zresztą jak cierpienia, które towarzyszą jej od urodzenia.

Siła wolności

To naturalne, że od bólu chcemy uciec. Dla świata głupotą wydaje się przyjęcie go i trwanie w nim. W dobie apapów dostępnych na stacjach benzynowych za grosze nie przychodzi nam do głowy, żeby nie ulżyć swojemu cierpieniu. Tymczasem bł. ks. Jerzy kilkukrotnie dziękuje Francesce podczas spotkań, że godzi się przyjmować bez słowa ból w intencji dusz czyśćcowych, rządzących, papieża... Zawsze jednak dopytuje, czy jest w stanie go unieść i czy jest gotowa na przyjęcie go więcej... Ta pełna zaufania relacja jest niezwykła zdaniem Mileny Kindziuk, autorki dwóch innych pozycji związanych z ks. Jerzym: „Jerzy Popiełuszko. Biografia" i „Matka świętego".

Cierpienie aż do męczeństwa stawia błogosławionego Jerzego w jednym rzędzie ze św. Maksymilianem i rzeszą innych męczenników, którzy zgodzili się wejść w śmierć dla innych.

W biografii ks. Jerzego, również autorstwa dr Mileny Kindziuk, czytamy o szczegółach jego męczeńskiej śmierci, ale to w objawieniach kapłan potwierdza Francesce jedną z hipotez dotyczących jego brutalnego zabójstwa. Autorka wierzy, że uda się w końcu je wyjaśnić, szczególnie że śledztwo wciąż się toczy oraz że będziemy mogli cieszyć się kanonizacją Popiełuszki. Jeszcze tylko potrzebny jest cud.

Przekonanie o wyjątkowości ks. Jerzego pogłębia się, gdy spojrzymy na okładkę książki „Niezwykłe objawienia". Jego życie nie było pozbawione lęku. Ksiądz podejrzewał, że może zginąć, ale nie rezygnował z życia. I takiego widzimy go na okładce książki, młodego, z charakterystyczną zaczeską i uśmiechem ukazującym kurze łapki wokół oczu. Chyba tylko łaska z góry potrafi połączyć zgodę na cierpienie z radością. Po ludzku to niemożliwe. A wszystko bez skargi i zawsze z jedną prośbą, gdy zjawia się w domu Francesci: „Pomodlimy się?".

Nic nowego?

Prywatne objawienia są dopełnieniem tego, co już mamy, prawdy zawartej w Biblii i nauczaniu Kościoła. Zdarza się jednak, że czas wymaga oświetlenia pewnych prawd Ewangelii, wzmocnienia wiary czy wskazania modlitwy, która pomoże przejść przez osobiste, narodowe czy światowe ciemności. To nic nowego w Kościele. Tak było w przypadku św. Dominika, któremu Maryja ukazała różaniec jako skuteczną broń w walce o zbawienie dusz. Gdyby zatem nie prywatne objawienia, nie mielibyśmy modlitwy różańcowej, Koronki do Bożego Miłosierdzia (podyktowanej Faustynie przez Jezusa) ani niektórych świąt. Objawienia prywatne dały początek Niedzieli Miłosierdzia czy świętu Bożego Ciała (wskutek objawień, których doznawała św. Julianna z Cornillon, zakonnica z Francji). Może to odpowiedź na pytanie, dlaczego ks. Jerzy objawia się we Włoszech?

Dwa skrzydła

Objawienia bł. ks. Jerzego oprócz specjalnej relacji wizjonerki z błogosławionym, służących jej samej, mają również wymiar kościelny. Kapłan wielokrotnie powtarza, aby modlić się za rządzących i biskupów. Przypomina, że Kościół jest jedynym miejscem zbawienia, ale w jednym z widzeń podkreśla, że „uczestnictwo we Mszy Świętej nie wystarczy do zbawienia", że potrzebne są też dobre uczynki wypływające z miłości.

> Francesca od **kilkunastu lat** zapisuje swoje spotkania z ks. Jerzym na polecenie spowiednika.

Tak żyje Francesca, która od kilkunastu lat zapisuje swoje spotkania z ks. Jerzym na polecenie spowiednika. Choć trwają one już tak długo, nie są równoznaczne z oficjalnym uznaniem ich przez Kościół, co autorzy, dr Milena Kindziuk i ks. prof. Józef Naumowicz, wyraźnie zaznaczają już na początku książki. Kościół się im przygląda. W przyszłości natomiast publikacja może stać się podstawą do badań teologicznych nad objawieniami Franceski Sgobbi.

Jak widzą mistycy?

„Wizja poznawcza, której doświadcza Franceska, kobieta bez wykształcenia, polega na nadprzyrodzonej percepcji kogoś lub czegoś, co jest niedostrzegalne w sposób naturalny – tłumaczy o. dr Andrzej Baran w jednym z wywiadów. Na tę wizję składają się słowa wewnętrzne, które kobieta odbiera za pomocą fizycznego zmysłu słuchu (słowa wewnętrznie słyszalne), i związane z nimi widzenia cielesne osoby księdza Jerzego Popiełuszki. Przekazywane słowa pochodzące od błogosławionego są dla pożytku osobistego Franciszki Sgobbi, niektóre zaś są przeznaczone dla pożytku powszechnego".

Ksiądz Jerzy musi mieć do przekazania coś ważnego, skoro słyszeli o nim już w Kanadzie, Australii czy na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Sprawdźcie sami, co ma do powiedzenia Wam.

Milena Kindziuk, ks. prof. Józef Naumowicz, „Niezwykłe objawienia ks. Jerzego Popiełuszki we Włoszech", Wydawnictwo Esprit, Kraków 2025.

eprasa.pl 09e62a2192

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Fot. M. Żegliński

GODZINA (NIE)WYCHOWAWCZA – lekcja dla rządu

Państwo powinno ponownie wziąć na siebie obowiązek finansowania płac nauczycieli – mówił 5 sierpnia na pikiecie pod Sejmem Waldemar Jakubowski, przewodniczący oświatowej Solidarności.

Protest zorganizowany przez Krajową Sekcję Oświaty i Wychowania NSZZ „S” oraz Stowarzyszenie Katechetów Świeckich był wyrazem sprzeciwu wobec chaosu w polskiej szkole. Nauczyciele domagali się powiązania płac ze średnim wynagrodzeniem w gospodarce, ustawowego uregulowania dodatków płacowych, aby nie można było nimi dowolnie manipulować, a także powrotu do wydawania przez państwo określonej kwoty na edukację.

– Niestety w tej chwili jest to regulowane przez tak zwaną kwotę bazową, czyli coroczny taniec wokół ustawy budżetowej i przepychanki. Trzeba z tym wreszcie skończyć. Tym bardziej że kiedyś to było uregulowane – było to 12,3 proc. budżetu. Niestety władze państwowe odeszły od tego, i to był wielki błąd – tłumaczył przewodniczący Jakubowski.

Poza kwestiami płacowymi protestujący skrytykowali pomysł powołania rzecznika praw ucznia oraz skrócenia wymiaru lekcji religii w szkołach do godziny tygodniowo bez propozycji wsparcia dla katechetów. Taka decyzja może poskutkować tym, że ponad 11 tys. katechetów zostanie bez pracy, o czym mówił Tomasz Sypniewski ze Stowarzyszenia Katechetów Świeckich. Przypomniał też, że obywatelski projekt ustawy „TAK dla religii i etyki w szkole”, który zakłada utrzymanie dwóch godzin lekcji religii, zyskał szerokie poparcie społeczne – zebrano ponad pół miliona podpisów.

Związkowcy mieli również wypisane na banerach kolejne postulaty: „TAK za pracami domowymi. NIE dla «róbta, co chceta»”, „Precz z umowami śmieciowymi dla nauczycieli specjalistów” czy „Dość oszukiwania przy płaceniu za nadgodziny”.

eprasa.pl 09e62a2192

Fot. M. Żegliński

„Zaprzysiężenie to tylko formalność, ale jakże ważna, jakże podniosła, dlatego wszyscy się cieszymy. Do Warszawy przyjechała silna reprezentacja NSZZ „Solidarność", z czego jestem dumny, i z czego się cieszę".

Piotr Duda, szef KK NSZZ „S", na zaprzysiężeniu prezydenta Karola Nawrockiego, Tysol.pl, 6 sierpnia br.

ZAWODY SZACHOWE

W historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej rozegrane zostały Międzynarodowe Mistrzostwa Pomorza o Puchar Solidarności w szachach. Zawody odbywały się pod patronatem Polskiego Związku Szachowego.

Szachiści wysilali swoje szare komórki od 27 lipca do 3 sierpnia w systemie szwajcarskim po 9 rund. Na rozegranie partii przewidziano 90 minut plus 30 sekund na każde posunięcie od początku partii. Zawody podzielono na cztery kategorie: generalną, kobiet, juniorów do lat 18 oraz osób powyżej lat 60.

W klasyfikacji generalnej pierwsze miejsce i Puchar Solidarności zdobył Kacper Żochowski. W juniorach najlepszym zawodnikiem okazał się Jan Przybylski, wśród kobiet – Weronika Frączek, a w kategorii 60 plus – Marek Uziałko. Nagrody zwycięzcom wręczał Wojciech Kwidzyński, prezes Fundacji Promocji Solidarności, która współorganizowała Mistrzostwa.

PODWYŻKI W COBRA EUROPE

Sukcesem Solidarności w spółce Cobra Europe w Piekarach Śląskich zakończyły się rozmowy płacowe z pracodawcą. Stawki zasadnicze pracowników firmy wzrosną o 300 zł brutto, miesięczna premia frekwencyjna zostanie podniesiona o 560 zł brutto.

– Jesteśmy zadowoleni, bo do tej pory premia frekwencyjna wynosiła tylko 140 brutto. Ponadto udało nam się przekonać pracodawcę do przyznania jej wszystkim pracownikom firmy – mówi Agnieszka Skrzyszewska, przewodnicząca Solidarności w Cobra Europe.

– Najniższa stawka na produkcji, czyli taka, którą mają pracownicy na okresach próbnych, nie będzie mniejsza niż 5 tys. zł brutto. Do tego trzeba doliczyć premię frekwencyjną i premię za wykonanie planów produkcyjnych – dodaje.

Cobra Europe w Piekarach Śląskich zajmuje się produkcją taśmociągów i przenośników na potrzeby górnictwa i hutnictwa. Firma zatrudnia niespełna 130 pracowników. Do Solidarności należy blisko 70 osób.

ZAPROSZENIE DLA PREZYDENTA

W tym roku przypada 86. rocznica wybuchu II wojny światowej. Pocztowcy z Solidarności starają się pielęgnować pamięć o bohaterskiej obronie gmachu Poczty Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku przez grupę polskich pocztowców, do której doszło 1 września 1939 roku. Atak na placówkę Poczty rozpoczął się z samego rana o godzinie 4.45, równocześnie z ostrzałem Westerplatte przez pancernik „Schleswig-Holstein". Pocztowcy bronili się dzielnie aż do godziny 19.00 wieczorem.

Pocztowa Solidarność postanowiła wystosować zaproszenie do nowego prezydenta Karola Nawrockiego, aby przybył na uroczystości 1 września 2025 roku i wspólnie z nimi złożył wieniec ku czci obrońców Poczty.

– Co roku z dumą i szacunkiem oddajemy hołd Bohaterom pod pomnikiem Obrońców Poczty Polskiej. W historii tych uroczystości nigdy nie gościliśmy jednak prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Dlatego w imieniu pocztowej Solidarności i tysięcy pracowników Poczty Polskiej ośmielamy się zwrócić do Pana Prezydenta z gorącym apelem i zaproszeniem. Byłby to dla nas zaszczyt, gdyby Pan Prezydent zechciał w tym szczególnym dniu wziąć udział w uroczystościach i wspólnie z nami złożyć wieniec ku czci Obrońców. Pańska obecność byłaby dla całej 53-tysięcznej społeczności Poczty Polskiej nie tylko historycznym wydarzeniem, ale także niezwykle ważnym gestem wsparcia i symbolem jedności w trudnych dla nas czasach. Pańskie zwycięstwo wyborcze przyjęliśmy z wielką nadzieją i wierzymy, że ten gest umocniłby serca tych, którzy z dumą służą Rzeczypospolitej – zaznaczyła Organizacja Międzyzakładowa NSZZ „Solidarność" Pracowników Poczty Polskiej.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

15.08.1980 – wybucha strajk w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Na czele Komitetu Strajkowego staje monter Andrzej Kołodziej. I sekretarz KC PZPR Edward Gierek przerywa urlop na Krymie i wraca do kraju;

16.08.1980 – dyrekcja Stoczni Gdańskiej godzi się na przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, podwyżkę płac o 1500 zł, dodatek drożyźniany dla stoczniowców i gwarancje bezpieczeństwa dla strajkujących. Lech Wałęsa ogłasza zakończenie strajku, ale po buncie części załogi postanawia wszcząć strajk okupacyjny.

eprasa.pl 09e62a2192

To wyróżnienie dla całej Solidarności

– Tytuł honorowego obywatela Warszawy jest docenieniem działalności Solidarności na terenie Mazowsza, a w szczególności stolicy – mówi **Andrzej Kropiwnicki**, emerytowany wieloletni przewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność", w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

Fot. M. Żegliński

– Został Pan wyróżniony tytułem honorowego obywatela Warszawy.

– To jest wyróżnienie dla całego naszego związku zawodowego i naszej działalności na terenie stolicy. Proszę pamiętać, że jednym z 21 sierpniowych postulatów było zniesienie cenzury. Kiedy w 1995 roku w Warszawie został odsłonięty pomnik Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, postanowiliśmy, że spróbujemy przywrócić Polakom pamięć dotyczącą Katynia. Podjęliśmy wszelkie działania, żeby spróbować to zrobić – organizowaliśmy lekcje historii dla młodzieży, dla tysięcy dzieciaków. Nie udałoby się to bez Solidarności. Bez naszego związku zawodowego nie byłaby możliwa także reforma samorządowa i bardzo wiele innych działań. Wyróżnienie, które otrzymałem, traktuję jako docenienie tej działalności całej „S".

– Jakie zadania stoją przed Solidarnością w najbliższym czasie?

– Jest ich bardzo wiele w rozmaitych obszarach, ale najważniejsze to: mówić prawdę i starać się przebijać z nią do całego społeczeństwa, a szczególnie do młodzieży. Mówić prawdę o naszej przeszłości, teraźniejszości i o tym, co nas czeka, jakie mamy obowiązki wobec naszego kraju.

– Ogromne pole do działania to edukacja.

– Tak, to jest wielkie zadanie zarówno dla nauczycieli, jak i dla całego związku zawodowego. Uczyć i wy-

eprasa.pl 09e62a2192

chowywać tak, żeby młody obywatel, który stanie się za chwilę dorosłym człowiekiem, miał świadomość, jaka jest jego historia i jaki jest jego obowiązek wobec państwa. To jest bardzo trudne, ale jeżeli nie zaczniemy od podstaw, nie zaczniemy od dzieci, młodzieży, rodziny, to nigdy nie zbudujemy wspólnoty. Podstawową wspólnotą jest rodzina. Jeśli nie będziemy ze sobą w rodzinie, wówczas nie będziemy nigdy w żadnej wspólnocie. Interesy różnych grup są po prostu różne i zabieganie ludzi w pracy też jest potężne. Stąd muszą istnieć wartości ponadczasowe, które nas skupiają wokół tego samego celu. A podstawowym celem jest Polska oparta na rodzinie. Wszystko to wywodzi się z chrześcijańskiej nauki społecznej Kościoła. Jeśli tego nie będzie, zabraknie nam fundamentu.

– Czym dla Pana jest Warszawa?

– Warszawa jest zlepkiem ludzi, którzy przyjechali do stolicy. Nie ma jednolitego charakteru. Żyjemy w jednym miejscu, ale obok siebie. Wybudowanie Muzeum Powstania Warszawskiego, skupienie ludzi wokół tej idei, jest widoczne szczególnie 1 sierpnia, ale na co dzień stolica to rozbiegane miasto, rozbiegani ludzie, którzy nie mają wspólnych celów. Każdy chce żyć wygodnie, szybko, bogato i mieć łatwy dostęp do wszystkiego. Dlatego bardzo ważne są elementy historyczne, wokół których próbuje się budować politykę historyczną zarówno miasta, jak i państwa. To nas spaja, ale na co dzień jesteśmy rozdzielni, kłócimy się, spieramy...

NAJWAŻNIEJSZE ZADANIE SOLIDARNOŚCI TO: MÓWIĆ PRAWDĘ O NASZEJ PRZESZŁOŚCI, TERAŹNIEJSZOŚCI I O TYM, CO NAS CZEKA, JAKIE MAMY OBOWIĄZKI WOBEC NASZEGO KRAJU.

– Tymczasem Solidarność to synonim wspólnoty.

– Zgadza się, ale budowanie wspólnoty to jest długi proces, który w społeczeństwie musi trwać. I musi on mieć także zrozumienie woli rządzących, że wokół wspólnych celów, wspólnych wydarzeń należy się gromadzić. Polska ma piękną tradycję, Warszawa ma piękną tradycję. I my mamy w sercach coś takiego, że potrafimy się jednoczyć – niestety na ogół głównie w chwilach zagrożenia. Warto, abyśmy umieli robić to także na co dzień. Aby to było możliwe, każdy musi nieść te pozytywne wartości „na swoim odcinku" pracy, działalności związkowej, społecznej, a przede wszystkim – w rodzinie.

Andrzej Kropiwnicki przez wiele lat pełnił funkcję przewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność". Działał szczególnie na niwie oświaty, polityki historycznej i budowania tożsamości młodego pokolenia. Przez cztery kadencje piastował mandat radnego Warszawy. Uchwałą Rady m.st. Warszawy został 26 czerwca 2025 r. wyróżniony tytułem honorowego obywatela miasta stołecznego Warszawy.

LATAWIEC MICHALSKI

eprasa.pl 09e62a2192

Pancerna Barbara

Mniej religii w szkołach, nieobowiązkowe prace domowe, edukacja zdrowotna, okrojona podstawa programowa. To **dotychczasowy dorobek** Barbary Nowackiej, która dzierży władzę w Ministerstwie Edukacji Narodowej i zapowiada gruntowną reformę oświaty pod nazwą „Kompas Jutra". Resort przygotowuje nowe podstawy programowe i egzamin maturalny, a parlament właśnie znowelizował Kartę Nauczyciela. Tymczasem w stolicy protestuje Solidarność.

Marcin Krzeszowiec

Najpierw Sejm, a teraz również Senat przegłosowały dwie ustawy zmieniające Kartę Nauczyciela, które czekają już tylko na podpis prezydenta. Co się zmieni? Po pierwsze od 1 września tego roku znikną ze szkół godziny dostępności. To tak zwane godziny Czarnkowe, które zobowiązywały nauczycieli do poświęcania jednej godziny tygodniowo na konsultacje z uczniami lub ich rodzicami. Zdaniem krytyków był to martwy przepis, a jego likwidację postulował Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Pojawią się za to dwa nowe przedmioty: edukacja zdrowotna, która zastąpi wychowanie do życia w rodzinie, i edukacja obywatelska. Największe

Pikieta Solidarności przed Sejmem. Na zdjęciu dr Waldemar Jakubowski – przewodniczący Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność"

Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 09e62a2192

emocje od początku budził pierwszy z nich. Zdaniem przeciwników edukacji zdrowotnej ten przedmiot ma być przykrywką do przemycania treści ideologicznych i seksualizacji dzieci w szkołach.

Minister Nowacka twierdzi natomiast, że „sprzeciwianie się edukacji zdrowotnej to sprzeciwianie się zapobieganiu uzależnieniom, otyłości i cyberzagrożeniom wśród dzieci", a przedmiot zwiększy świadomość uczniów na temat odżywiania, profilaktyki uzależnień czy zapobiegania pornografii. W te zapewnienia nie wierzą rodzice, którzy uczestniczyli w licznych protestach i ostatecznie doprowadzili do tego, że MEN zrobiło krok wstecz, a edukacja zdrowotna nie będzie przedmiotem obowiązkowym.

Drugi przedmiot, czyli edukacja obywatelska, nie budzi tyle emocji – zastąpi on HIT w drugich klasach szkół średnich. MEN chciałoby, żeby dzięki tym lekcjom uczniowie mieli poczucie sprawczości, wpływu na rzeczywistość i angażowali się społecznie. Można zatem spodziewać się, że nauczyciele będą oczekiwali od uczniów włączenia się w wolontariat, uczestnictwa w spotkaniach ze świadkami historii czy przeprowadzenia sond ulicznych na ważne dla nich tematy. Być może do zaliczenia przedmiotu niektórzy uczniowie wykorzystają organizację „tęczowych piątków", udział w marszach klimatycznych, a inni postawią na spotkania z powstańcami warszawskimi lub opozycjonistami z Solidarności. Warto zatem dać młodym wartościowe propozycje, aby mieli w czym wybierać – organizować spotkania i zainteresować nimi nauczycieli oraz uczniów.

Odprawy i nagrody

Nowe przepisy przyjęte przez parlament poszerzają także ochronę emerytalną pedagogów. Od września 2025 roku dyrektorzy szkół nie będą mogli zwolnić nauczyciela zatrudnionego na podstawie mianowania, jeśli pozostały mu 4 lata do emerytury. Dopuszczone są jednak pewne wyjątki, kiedy jest to możliwe, jak np. przypadek likwidacji szkoły, uzyskanie prawa do renty z tytułu całkowitej niezdolności do pracy czy wystawienie nauczycielowi negatywnej oceny pracy.

Co więcej, nauczyciele, którym brakuje do emerytury mniej niż rok, będą mogli skorzystać z leczenia lub rehabilitacji uzdrowiskowej.

Rząd dokonał też zmian w odprawach emerytalno-rentowych, które obejmą wszystkich nauczycieli, również tych zatrudnionych na mniej niż połowę etatu. Od przyszłego roku nauczyciel po przepracowaniu 10 lat uzyska odprawę w wysokości dwukrotnego wynagrodzenia, po 15 latach trzykrotnego, a po 20 latach otrzyma na konto sześciomiesięczną pensję.

Zwiększona zostanie także kwota nagrody jubileuszowej – za 40 lat pracy z 250 do 300 proc. miesięcznego wynagrodzenia. Rząd postanowił też przyznać nową jubileuszówkę po 45 latach pracy w wysokości 400 proc. miesięcznej pensji.

Ponadto pensum nauczycieli praktycznej nauki zawodu zostanie zmniejszone z 20 do 18 godzin, a nauczyciel początkowy będzie musiał przepracować nie 2 lata, ale tylko jeden rok szkolny przed otrzymaniem umowy na czas nieokreślony.

Nowa podstawa i kanon lektur

Gruntowna reforma edukacji nie ominie podstawy programowej. Zdaniem MEN jest ona przeładowana, dlatego już w ubiegłym roku resort edukacji ograniczył o około 20 proc. zakres treści nauczania dla klas 4–8 szkoły podstawowej i klas ponadpodstawowych. Nowe podstawy programowe wdrożono dla 18 przedmiotów. To jednak nie koniec zmian.

W marcu 2025 roku MEN powierzyło Instytutowi Badań Edukacyjnych – Państwowemu Instytutowi Badawczemu przygotowanie 22 projektów nowych podstaw programowych. Zaczną one obowiązywać w klasach I i IV szkoły podstawowej od 2026 roku, a uczniowie będą musieli zakupić nowe podręczniki. W kolejnym roku szkolnym, od września 2027 roku, nowe treści będą wdrożone w I klasach szkół średnich, a wszyscy uczniowie mają przygotować raz w roku wspólny projekt edukacyjny w ramach tzw. Tygodnia projektowego.

Młodzież, która zakończy pełny cykl kształcenia w oparciu o nową podstawę programową, napisze w 2031 roku nowy egzamin ośmioklasisty i nową maturę.

Finalne propozycje ekspertów z IBE ukażą się we wrześniu, ale już teraz emocje wzbudził wywiad, którego „Gazecie Wyborczej" udzieliła niedawno dr Kinga Białek, szefowa zespołu

BYĆ MOŻE DO ZALICZENIA „EDUKACJI OBYWATELSKIEJ" NIEKTÓRZY UCZNIOWIE WYKORZYSTAJĄ ORGANIZACJĘ „TĘCZOWYCH PIĄTKÓW", A INNI SPOTKANIA Z OPOZYCJONISTAMI Z SOLIDARNOŚCI.

eprasa.pl 09e62a2192

opracowującego nowe podstawy programowe dla języka polskiego w szkołach podstawowych.

Wynikało z niego, że w klasach 4–6 listę lektur zastąpią „kręgi tematyczne", a uczniowie wespół z nauczycielami wybiorą z nich co najmniej cztery pozycje do przeczytania – mogą to być zarówno „Chłopcy z placu broni", jak i „Harry Potter". Do tego dojdą fragmenty klasycznych tekstów biblijnych, mitów greckich, baśni czy legend.

Z kolei uczniowie 7–8 klas mieliby do przeczytania obowiązkowo tylko 3 klasyczne pozycje książkowe („Balladyna" Juliusza Słowackiego, druga część „Dziadów" Adama Mickiewicza i „Kamienie na szaniec" Aleksandra Kamińskiego) oraz krótsze utwory typu „Treny" Jana Kochanowskiego czy nowele Bolesława Prusa.

– Nie proponujemy żadnej stałej listy lektur wymienionych z tytułu i nazwiska autora. Chcemy, żeby uczniowie czytali nie mniej niż cztery duże książki rocznie, opowiadające im o bliskich rzeczach, motywach, sytuacjach, tematach, które ich poruszają, także o domu, przyjaźni i relacjach z przyrodą – tłumaczyła na antenie Polsat News dr Kinga Białek.

– Nauczyciel musi mieć pewną swobodę i autonomię, żeby odpowiedzieć na bieżące potrzeby swoich uczniów. Nie da się wytworzyć miłości do czytania, zmuszając do tego, co jest zapisane na twardej liście – dodała.

Głosy oburzenia wobec tych propozycji starali się studzić rzecznik rządu Adam Szłapka i minister Barbara Nowacka. Uspokajali, że żadne lektury nie zostaną wykreślone i że są to tylko propozycje ekspertów, a nie ostateczne decyzje.

Jakie one będą, przekonamy się na jesieni, ale już teraz można zaryzykować stwierdzenie, że czeka nas medialna burza, a nazwisko minister edukacji będzie pojawiać się w mediach równie często, jak w kwietniu 2024 roku. Wtedy to MEN postanowiło, że prace domowe w szkołach podstawowych będą nieobowiązkowe.

Pancerna Barbara

Rządów Nowackiej nie zapomną też katecheci i rodzice, których dzieci uczęszczały na lekcje religii. Szefowa MEN postanowiła bowiem zmniejszyć liczbę godzin religii do jednej tygodniowo, przenieść ją na pierwszą bądź ostatnią godzinę i nie wliczać oceny z tego przedmiotu do średniej. Innymi słowy – chodzi o zniechęcenie uczniów do pogłębiania ich wiary, a w ostatecznym rozrachunku o całkowite wyrugowanie religii ze szkół. Dlaczego religia musi odbywać się przed lub po zajęciach, a edukacja zdrowotna już nie? To również przedmiot nieobowiązkowy, ale – jak widać – uprzywilejowany. Z drugiej strony nie widać troski o prawa katechetów – choć nawet 10 tysięcy z nich może stracić pracę od 1 września.

Kiedyś polityczni znajomi prezesa Najwyższej Izby Kontroli Mariana Banasia mówili o nim jako o „pancernym Marianie". Niewykluczone, że podobny pseudonim – jako synonim bezkompromisowości i silnej pozycji w rządzie – zyska Barbara Nowacka. Wygląda na to, że minister dostała wolną rękę i może zrealizować swoje plany niezależnie od ciśnienia społecznego.

Barbara Nowacka przetrwała bowiem rekonstrukcję rządu i utrzymała się na powierzchni pomimo takich sondaży, jak ten wykonany w czerwcu dla pracowni SW Research na zlecenie „Wprost". Wynika z niego, że Barbara Nowacka to najgorzej oceniany przez Polaków minister w szeregach rządu. Udało jej się nawet przebić Izabelę Leszczynę, której ciążyła sprawa nieopłaconych nadwykonań w szpitalach.

Gdyby to zależało od Solidarności, to szefowa MEN również nie otrzymałaby promocji do następnej klasy. Związkowcy wystawili jej ocenę niedostateczną z sześciu przedmiotów: od dialogu ze związkami, przez stosunek do katechetów, po reformę podstawy programowej. Związkowcy uznali również zachowanie Barbary Nowackiej za nieodpowiednie, ale przede wszystkim zarzucają jej to, że nie zrealizowała sztandarowego postulatu Związku, a mianowicie powiązania płac nauczycieli z przeciętnym wynagrodzeniem w gospodarce narodowej. Politycy nie lubią bowiem wiązać sobie rąk i nie zapowiada się, by zrobił to także rząd Donalda Tuska.

Naszej Koleżance

ANNIE RATAJSKIEJ

długoletniej wiceprzewodniczącej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" nr 2 na Uniwersytecie Warszawskim składamy wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty

Aniu, byłaś bardzo dzielna!
Jesteśmy z Tobą.

Koleżanki i koledzy z Solidarności

eprasa.pl 09e62a2192

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Polacy – pierwszy naród ukarany

Zbrodnicza Rosja to nie tylko Katyń. 11 sierpnia 1937 r. szef NKWD Nikołaj Jeżow wydał rozkaz numer 00485 nakazujący „całkowitą likwidację polskich siatek szpiegowskich". Był to sygnał do rozpoczęcia operacji polskiej – gigantycznej akcji eksterminacji, której ofiarami padło przynajmniej 111 tys. Polaków w ZSRS. Tak ustaliło rosyjskie Stowarzyszenie „Memoriał", zlikwidowane zostało ono ostatecznie przez Putina w 2022 r.

Na początku 1937 r. Jeżow informował Stalina o działaniu podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Przynależność do tej nieistniejącej od 1921 r. formacji stała się jednym z najczęstszych oskarżeń wobec Polaków aresztowanych kilka miesięcy później. Rozkaz szefa NKWD z 11 sierpnia brzmiał: „Wszyscy aresztowani, zależnie od stopnia ujawnionej winy wykazanego w toku śledztwa, dzieleni są na dwie kategorie: pierwsza kategoria, podlegająca rozstrzelaniu, do której należą szpiegowskie, dywersyjne, szkodnicze i powstańcze kadry polskiego wywiadu; druga kategoria, do której należą mniej aktywni z nich, podlegająca karze zamknięcia w więzieniu i łagrach z wyrokami od 5 do 10 lat".

Cztery dni później, kolejnym rozkazem Jeżowa, rozszerzono listy „podejrzanych" o ich rodziny. Dzieci skazanych zostały „uwięzione w obozach albo koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie", a „dzieci karmione piersią kierowane razem ze skazanymi matkami do obozów, skąd po osiągnięciu 1–1,5 roku przenoszone do domów dziecka i żłobków".

Podstawę aresztowania stanowiło miejsce urodzenia na terenie przedrozbiorowej Polski, nazwisko o polskim brzmieniu lub wyznanie. Amerykański historyk Terry Martin ustalił, że w czasie Wielkiego Terroru Polak mieszkający w ZSRS miał 31 razy większą szansę być rozstrzelanym, niż wynosiła średnia dla innych grup narodowościowych.

„Z zasady w 95 proc. przypadków dawano najwyższy wymiar kary. Potem spisywano protokół i dawano do podpisu Jeżowowi. Jeżow, jak niejednokrotnie sam widziałem, nawet ich nie czytał, otwierał na ostatniej stronie i ze śmiechem pytał [...], ilu tu Polaczków... podpisywał, nie czytając, już był tam podpis [prokuratora Andrija] Wyszyńskiego" – zeznawał polskojęzyczny funkcjonariusz NKWD Stanisław Redens, szwagier Stalina, jeden z wykonawców zbrodni. Jego także oskarżono o przynależność do polskiej siatki szpiegowskiej i rozstrzelano w lutym 1940 r.

Wspomniany „Memoriał" ustalił, że represje operacji polskiej objęły co najmniej 139 835 osób. Wyrok śmierci wydano na 111 091 oskarżonych, 28 744 osoby skazano na pobyt w łagrach. Dodając ofiary innych operacji przeprowadzanych w tym samym czasie (np. przeciwko kułakom, Kościołowi katolickiemu) represjonowano ponad 200 tysięcy Polaków.

Ta gigantyczna zbrodnia była przemilczana w komunistycznej PRL. Również na emigracji wiedza o masowej eksterminacji Polaków była niewielka. Dopiero w 1991 r. w Polsce ukazała się pierwsza synteza dziejów Polaków w imperium sowieckim pióra Nikołaja Iwanowa „Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939".

Pamiętajmy, że zbrodnicza Rosja to nie tylko Katyń. A zbrodniarze Stalin i Jeżow mają dziś swoich następców.

eprasa.pl 09e62a2192

PRAWO

AMATOR NA RYBACH,
czyli słów kilka na temat karty wędkarskiej

Podczas pobytu nad jeziorem mój znajomy zaproponował wspólne wędkowanie. Miał dodatkową wędkę. Powiedział, że tu nie ma kontroli, a poza tym **to tylko rekreacja**. Nie posiadam karty wędkarskiej ani żadnego pozwolenia. Czy rzeczywiście nic mi za to nie grozi? Co w przypadku kontroli?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Choć może się wydawać, że połów ryb to niewinna forma spędzania czasu, przepisy w tym zakresie są bardzo precyzyjne, a ich złamanie może mieć poważne konsekwencje. W Polsce obowiązują przepisy ustawy o rybactwie śródlądowym, które regulują m. in. kto i na jakich zasadach może uprawiać amatorski połów ryb. Aby łowić na wodach użytkowanych przez Polski Związek Wędkarski lub inne podmioty uprawnione do gospodarowania wodami, trzeba posiadać ważną kartę wędkarską oraz wykupione pozwolenie, tzw. licencję na dany akwen. Brak któregokolwiek z tych dokumentów sprawia, że łowienie ryb staje się nielegalne. W praktyce wiele osób ignoruje te wymogi, zwłaszcza podczas urlopów czy weekendowych wyjazdów, kierując się przekonaniem, że „nikt nie zauważy" lub „to tylko jedna ryba". Niestety, konsekwencje takiego podejścia mogą być bardzo nieprzyjemne.

Aby zdobyć kartę wędkarską, należy zdać egzamin organizowany przez Polski Związek Wędkarski. Egzamin ten sprawdza podstawową znajomość przepisów dotyczących ochrony środowiska, gatunków ryb, metod połowu i etyki wędkarskiej. Karta ma charakter bezterminowy, więc warto potraktować ją jako jednorazową inwestycję, która zapewnia legalność działań przez całe życie. Osoby, które łowią ryby bez karty, narażają się na mandat w wysokości do kilkuset złotych, a w razie odmowy jego przyjęcia na skierowanie sprawy do sądu. Co więcej, oprócz samej karty potrzebne jest również zezwolenie na połów ryb w danym zbiorniku. To osobny dokument, zazwyczaj wydawany odpłatnie na dzień, tydzień, miesiąc lub cały sezon. Niektóre wody są ogólnodostępne, ale większość, zwłaszcza te o dobrej kondycji ichtiologicznej, znajduje się w gestii konkretnego dzierżawcy, np. PZW, który ustala własne zasady dostępu i wysokość opłat.

ABY ZDOBYĆ KARTĘ WĘDKARSKĄ, NALEŻY ZDAĆ EGZAMIN ORGANIZOWANY PRZEZ POLSKI ZWIĄZEK WĘDKARSKI.

Warto wiedzieć, że kontrole nad wodami prowadzi kilka różnych służb. Oprócz policji i straży rybackiej funkcje kontrolne pełnią także strażnicy Państwowej Straży Rybackiej, funkcjonariusze straży leśnej oraz społeczni strażnicy PZW. Są oni uprawnieni do legitymowania, sprawdzania dokumentów i sprzętu oraz do wystawiania mandatów. Wakacyjne miesiące, szczególnie lipiec i sierpień, to czas wzmożonych kontroli na popularnych łowiskach. Wbrew temu, co myśli wielu amatorów, patrole bardzo często obejmują również mniejsze jeziora i rzeki, a nie tylko znane komercyjne łowiska. Z pozoru niewinne wędkowanie może więc okazać się kosztownym błędem. Dlatego zanim sięgniemy po wędkę, warto upewnić się, że posiadamy wymagane dokumenty, a miejsce, w którym łowimy, jest objęte odpowiednim zezwoleniem. Legalny połów nie tylko daje satysfakcję, ale też chroni nas przed nieprzyjemnościami i pozwala cieszyć się wakacjami bez niepotrzebnego stresu.

eprasa.pl 09e62a2192

STRAJK a spór zbiorowy

Jednym z uprawnień związkowych najmocniej zakorzenionym w powszechnej świadomości jest bez wątpienia prawo do strajku. Nie jest to sytuacja przypadkowa, lecz ma swoje głębokie uzasadnienie – zarówno w historii, jak i w przepisach prawa. W kontekście prawnym warto podkreślić, że prawo związków do organizowania strajków jest traktowane jako standard już na poziomie prawa międzynarodowego. Z kolei w polskim porządku prawnym wielce wymowne jest, że art. 59 ust. 3 konstytucji jednoznacznie przesądza, iż związkom zawodowym przysługuje prawo do organizowania strajków pracowniczych i innych form protestu w granicach określonych w ustawie.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Jednocześnie należy także mieć na uwadze, że z pojęciem strajku w sposób nierozerwalny wiąże się inny zwrot, a mianowicie – spór zbiorowy. Co więcej, niekiedy określenia te są stosowane zamiennie, co jednak nie jest prawidłowe.

W tym kontekście należy przywołać ustawę z dnia 23 maja 1991 r. o rozwiązywaniu sporów zbiorowych. Już sam tytuł tego aktu, a jeszcze bardziej jego systematyka, pozwala wyraźnie dostrzec różnicę pomiędzy tytułowymi pojęciami.

Spór zbiorowy jest pewnym procesem zachodzącym pomiędzy pracodawcą a pracownikami reprezentowanymi przez związki zawodowe, który przedmiotem są ustalenia dotyczące warunków pracy, płac lub świadczeń socjalnych oraz praw i wolności związkowych. Przez proces należy przy tym rozumieć fakt, że spór zbiorowy organizowany zgodnie z prawem, czyli legalny, składa się z kilku etapów, a strajk jest jednym z nich, a dokładniej rzecz biorąc ostatnim. Innymi słowy, strajk jest elementem sporu zbiorowego. Oznacza to, że nie każdy spór zbiorowy musi doprowadzić do strajku, a jednocześnie nie może dojść do strajku bez uprzedniego wszczęcia sporu zbiorowego.

Polski ustawodawca wprowadził zatem konstrukcję, która opiera się na założeniu, że najostrzejsza postać konfliktu między pracownikami a pracodawcą jest ostatecznością, do której może dojść (co do zasady) jedynie wówczas, gdy strony nie uzyskają porozumienia na drodze dialogu. Wprost zasadę tę wyraża art. 17 ust. 2 ustawy, w myśl którego strajk jest środkiem ostatecznym i nie może być ogłoszony bez uprzedniego wyczerpania możliwości rozwiązania sporu na jego wcześniejszych etapach (aczkolwiek są przewidziane od tej reguły dwa wyjątki).

Olbrzymie znaczenie ma tutaj także fakt, że ze swojej definicji strajk polega na zbiorowym powstrzymywaniu się pracowników od wykonywania pracy w celu rozwiązania sporu, a zatem jest właściwie otwartym konfliktem, w którym pracownicy posuwają się do zaprzestania świadczenia pracy (dążąc do uniemożliwienia funkcjonowania pracodawcy), podczas gdy wcześniejsze etapy mają zupełnie odmienny charakter.

Otóż spór zbiorowy rozpoczyna się rokowaniami, czyli po prostu dialogiem, rozmowami pomiędzy stroną związkową a pracodawcą, które w założeniu ustawodawcy mają doprowadzić do porozumienia, czyli zakończenia sporu w sposób niekonfliktowy. Jeżeli jednak rokowania nie doprowadzą do takiego skutku, wówczas rozpoczynają się mediacje. Mediacje także polegają na rozmowach obu stron, z tym, że w odróżnieniu od rokowań bierze w nich udział osoba trzecia, postronna – czyli mediator. Dopiero zatem, gdy dwie „tury" rozmów nie przyniosą rozwiązania sporu, które będzie satysfakcjonujące dla jego obu stron, możliwe jest wejście w fazę najostrzejszą, czyli strajk.

> SPÓR ZBIOROWY ORGANIZOWANY LEGALNIE SKŁADA SIĘ Z KILKU ETAPÓW, A STRAJK JEST JEDNYM Z NICH.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 09e62a2192

RYSUNEK NA KONIEC **WASIUKIEWICZ**

Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Nie szukam..., s. 56),
w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Katarzyna Kasjanowicz (Od „whitewashing"..., s. 52),
absolwentka kulturoznawstwa na UW, członkini Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, od 20 lat związana z prasą.

Remigiusz Okraska (Bez produkcji..., s. 7),
publicysta i działacz społeczny. Współtwórca i redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel". Jego felietony ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od 2024 roku.

Tadeusz Płużański (Polacy..., s. 71),
historyk, popularyzator wiedzy o polskim podziemiu niepodległościowym. Ostatnio wydał „Obławę na Wyklętych. Polowanie bezpieki na Żołnierzy Niezłomnych" (Replika, 2017). Dla nas pisze od roku 2020.

Konrad Wernicki (Stajemy..., s. 47),
nasz redakcyjny specjalista od marketingu, nowych technologii, mediów społecznościowych i nowych rewirów polskiej pracy. Pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2017 roku.

Agnieszka Żurek („Historyczne"..., s. 20),
z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 09e62a2192

REPUBLIKA

Cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Widzowie zagłosują także na niechlubne Oskary Tygodnia – **najlepszy hit z sieci.**

SOBOTA

11:11

w Republice

Zapraszają Mirona Hołda i Oskar Szafarowicz

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 09e62a2192

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 09e62a2192